B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY (White Eagle) & SYRENA le 16/23 Juillet 1964 — Price—Prix 1/3, NF0.75, $0.20

SYRENA

ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XXIV
PARYŻ—LONDYN

Nr 27/28 (1147/8) 875/6 16-23 lipca 1964

Następny numer „Orła Białego"

Następny numer „Orła Białego" ukaże się jako miesięcznik. Będzie z okładką miał 36 stron objętości na ilustracyjnym papierze. Łączna objętość tekstu sięgać będzie 24 stron formatu dotychczasowego. Cena wynosić będzie 3/6, względnie $0.50 i 2.50. F. Prenumeratorzy otrzymają indywidualne rozliczenia swych nadpłat i zaległości. Administracja przeprasza za zwłokę spowodowaną strajkiem pocztowym w Anglii i prosi o cierpliwość.

Strajk pocztowy opóźnił również ukazanie się dzisiejszego numeru. Nie pozwala nam także określić dokładnej daty numeru następnego. Dołożymy starań, by pomimo wszystkich trudności znalazł się w rękach czytelników w połowie sierpnia.

Pomimo zmiany formy — jej potrzebę uzasadnialiśmy obszernie w numerze z 2 lipca br. — „Orzeł Biały" nie będzie „nowym pismem" gdy chodzi o jego postawę ideologiczną. Nie odstąpi od tradycji, którą zaczął stwarzać gdy ukazał się jego pierwszy numer, w Buzułuku w listopadzie 1941 roku. Jego wydawcą staje się Federacja Światowa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, dziedzic i kontynuator naszej tradycji żołnierskiej walczący o te same cele, o wolność i sprawiedliwość dla Polski. Miesięcznik wszakże nie będzie jej „organem". Będzie pismem niezależnym w sensie redakcyjnym.

Natomiast będzie to nowe pismo, gdy chodzi o sposób redagowania i zakres tematyczny treści. Jako podtytuł otrzyma nazwę „Miesięcznik poświęcony zagadnieniom współczesnym". *Zgodnie z nim zajmować się będzie w sposób syntetyczny ym wszystkim, co interesować może Polaka bez względu na miejsce jego zamieszkania. Czyli całością życia współczesnego na wszystkich jego odcinkach. Będzie miał ambicję informowania Polaków na emigracji o tym, co się dzieje w kraju i Polaków w kraju o tym, co się dzieje w wolnym świecie. Choć zakreśliliśmy sobie szeroką skalę zainteresowań, nie mamy zamiaru konkurować z żadnym z istniejących pism polskich.*

Mamy nadzieję, że pierwsze kilka numerów wytłumaczą swą treścią, jakie jest nasze zamierzenie redakcyjne. Zamiast zapowiadać, jaką będzie treść chcemy by się „ sama obroniła". Tymczasem dziękujemy za przychylny stosunek do naszych zamierzeń i za licznie napływające słowa zachęty. Liczymy na rzeczową krytykę ze strony czytelników i prosimy o wyrozumiałość w stosunku do, nieuniknionych przy zmianie, usterek technicznych. Dziękujemy też dotychczasowym i nowym współpracownikom za dotychczasową i za obiecaną pomoc.

ZJAZD SPK W WIELKIEJ BRYTANII

W dniach 11 i 12 lipca odbył się w Londynie XVIII zjazd SPK w W. Brytanii, w którym uczestniczyli, albo bezpośrednio albo przez przekazanie głosu delegaci 97 Kół kombatanckich. Zjazd poprzedziła uroczysta inauguracja z udziałem licznych gości: gen. W. Andersa, amb. E. Raczyńskiego, gen. T. Bór-Komorowskiego, prezesów: dr. T. Bieleckiego i dr. A. Ciołkosza, gen. K. Wiśniowskiego, pułk. K. Ziemskiego i sekretarza generalnego S. Lisa — przedstawicieli władz Federacji Światowej SPK, b. wyższych dowódców z czasów wojny, reprezentantów bratnich organizacji kombatanckich, organizacji społecznych; krajowe ogniwa SPK z całego świata nadesłały życzenia.

Wejście pocztu sztandarowego powitano odśpiewaniem hymnu narodowego. Zjazd zagaił prezes Stefan Soboniewski po czym ks. infułat Bronisław Michalski, naczelny kapelan SPK odmówił modlitwę prosząc m.i. „... Spraw Boże, byśmy naszym solidarnym wysiłkiem i ofiarną pracą na społecznym polu służyli naszym rodakom na obczyźnie, niosąc im pomoc i będąc dla nich wzorem zgody, jedności i oddania ojczystej sprawie".

Następnie przemówił gen. Władysław Anders dając zwięzłą charakterystykę sytuacji międzynarodowej i przypominając obowiązki emigracji żołnierskiej. Życzenia od władz Federacji Światowej SPK złożył gen. Kazimierz Wiśniowski.

Inaugurację zakończył wzruszający moment wręczenia honorowej odznaki SPK najstarszemu kombatantowi w świecie generałowi Jerzemu Wołkowickiemu, prezesowi Koła SPK w Penrhos.

Przewodniczącym zjazdu wybrano inż. Jarosława Żabę (Manchester); w prezydium zasiedli: dr Stanisław Mglej (Edynburg), major Feliks Bolechowski (Stafford), oraz troje młodych działaczy SPK: Jadwiga Mrówkówna (Preston), Józef Raca (Wellingborough) i Edward Piskozub (Bradford).

Po wysłuchaniu uzupełniających sprawozdań zarządu, Komisji Rewizyjnej i obszernej dyskusji zjazdu udzielił ustępującym władzom absolutorium z podziękowaniem.

Obrady odbywały się w sali Skarbu Narodowego i wypełniły cały dzień sobotni. Wieczorem w Domu Kombatanta pracowały komisje: programowa, szkolno-oświatowa, finansowa i komisja-matka. Wnioski trzech pierwszych były dyskutowane przed południem w drugim dniu obrad.

W przerwie zjazdu w niedzielę uczestnicy wysłuchali w kościele polskim św. Andrzeja Boboli mszy św. za poległych i zmarłych kolegów oraz za pomyślność obrad. Mszę św. odprawił i okolicznościowe kazanie wygłosił naczelny kapelan SPK ks. infułat B. Michalski; serdeczne słowa

(Dokończenie na str. 12)

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

ANTYKOMUNIZM DYNAMICZNY — POWAŻNA SIŁA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Amerykanie są narodem wyrosłym z walki o wolność, która też jest fundamentem ich wszystkich społeczno-politycznych instytucji oraz sposobu życia. Szerokie masy obywateli Stanów Zjednoczonych żywią też ideały zasadniczo przeciwne komunizmowi, jako ustrojowi tyranii oraz ideologii imperialistycznej, nie tylko atakującej narody świata wolnego na wszystkich kontynentach, ale zaglądającej już bezpośrednio w oczy samej Ameryce, na zachodniej półkuli.

Wbrew temu nastawieniu najzdrowszych i najszerszych mas amerykańskich, rządzące sfery Waszyngtonu w oparciu o wyższe i raczej agnostyczne, pozbawione wiary w cokolwiek, warstwy intelektualistyczne rozpoczęły od czasu F. D. Roosevelta jałtańską politykę zbliżania się do komunistycznej, sowieckiej Rosji. Koegzystencja ta, z jednej strony torowała drogę na szczyty polityczne Waszyngtonu rozmaitym, mniej lub bardziej, jawnym sympatykom komunizmu, a z drugiej wprowadziła politykę tego największego mocarstwa świata wolnego na drogę sprzeczności wewnętrznych i zakłamania. Droga ta sprzyjała w rezultacie ciągłym postępom komunistycznej ekspansji na licznych obszarach kuli ziemskiej, co niejednokrotnie z żalem na tych łamach stwierdzaliśmy i czego najnowsze objawy dalej omówimy.

Ostatnie lata ponownego objęcia władzy przez Demokratów, wbrew pozornemu idealizmowi hasła „new frontier" wyraziły się w tak daleko posuniętym nawrocie do polityki jałtańskiej, że można dziś mówić na serio o osi Biały Dom-Kreml, połączonych „czerwonym drutem" bezpośredniej komunikacji. Zbliżeniu temu towarzyszą niepowodzenia polityki amerykańskiej na wszystkich niemal międzynarodowych polach: postępy komunizmu, który dotarł na zachodnią półkulę pod sam próg Ameryki, przedarł się do Afryki i posuwa naprzód w Azji płd. wschodniej, a z drugiej strony rozluźnianie się zachodnich przymierzy i utrata zaufania u sprzymierzeńców, to główne objawy dekadencji Stanów Zjednoczonych w dzisiejszym świecie.

DYPLOMATYCZNE NIEPOWODZENIA ANGLO-AMERYKAŃSKIE

Na tym tle zrozumiała jest reakcja przeciwko polityce koegzystencji z Sowietami, jaka się ujawniła w antykomuniźmie, który się określa jako dynamiczny i którego wyrazem jest zwycięstwo Goldwatera na konwencji Republikanów w San Francisko. Było przedwczesne wróżyć, czy nowa fala antykomunizmu amerykańskiego wypali się zaledwie w akcji wyborczej i walkach wewnętrznych, czy też okaże się twórczym czynnikiem polityki światowej, pomyślnym dla narodów, opanowanych przez komunistyczną tyranię, więc i dla Polski. Fala ta, której — propagująca koegzystencję — prasa amerykańska i za nią brytyjska starały się nie dostrzegać, będzie wymagała ze strony polskiej opinii bacznej i stałej uwagi.

Podczas kiedy Waszyngton i Londyn zajmują się głównie przedwyborczymi sprawami wewnętrznymi, na najważniejszych odcinkach światowego frontu polityka obu tych stolic zbiera krwawe albo co najmniej gorzkie owoce popełnionych błędów czy krótkowzrocznych zaniedbań.

Dopuściwszy do fatalnego dla swego systemu przymierzy konfliktu na Cyprze, mocarstwa anglosaskie nie umieją go tam teraz opanować i zrażając sobie, zarówno Grecję jak Turcję, tolerować muszą zarazem ognisko zapalne poza frontem obrony Bliskiego Wschodu z wielkim pożytkiem dla ... penetracji sowieckiej. Dalszy odcinek, czyli Środkowy Wschód, przyniósł ostatnio również pogorszenie sytuacji dla Zachodu. Irak pod rządami Arefa odbudował porozumienie z Egiptem i poprzez Nassera nawiązał znowu stosunki z Sowietami, które przywróciły mu — zawieszoną przez dłuższy czas — pomoc wojskową i gospodarczą. Na skutek dyplomatycznej życzliwości Stanów Zj., zdołał też Nasser utrwalić w Jemenie — wbrew Londynowi — rewolucyjny rząd prosowiecki i brytyjska baza w Adenie nie może już dziś liczyć na pozbycie się groźnego sąsiedztwa.

ROZKŁAD „CENTO"

Przykra i dlatego przemilczana na ogół w prasie porażka spotkała dyplomację anglo-amerykańską także ze strony państw CENTO, czyli porozumienia Turcja-Persja-Pakistan pod auspicjami Londynu i Waszyngtonu. Państwa te bowiem, zrażone brakiem istotnego poparcia ze strony wymienionych stolic, zawarły w początkach lipca własne i osobne porozumienie gospodarczo-kulturalno-naukowe niezależne od CENTO, otwierając ponadto wstęp do niego Afganistanowi, który — jak wiadomo — jest w znacznym stopniu sferą wpływów sowieckich.

Porozumienie to jest w każdym razie manifestacją zawodu trzech, wspomnianych państw, odczuwanego w rezultacie związania się z W. Brytanią i Stanami Zj. dla obrony wspólnej sprawy wolności. Turcja uważa się za zdradzoną na terenie Cypru, Persja — liczyła na hojniejszą pomoc gospodarczą i wreszcie Pakistan

(Dokończenie na str. 6)

Wybory za dwa lata — budżet — sprawy międzynarodowe na posiedzeniu RJN

Z tradycyjnym, kilkodniowym opóźnieniem Rada Jedności Narodowej zebrała się 4 lipca, aby uchwalić budżet na następny rok 1964/5, czego powinna w zasadzie dokonywać przed 1 lipca. Innym, ważnym punktem porządku dziennego było przedłużenie kadencji obecnej Rady z dwu lat na cztery, bez której to zmiany nowe wybory musiały by być rozpisane w tym jeszcze roku. Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że nie jest to tymczasem politycznie konieczne, a na tak znaczny wysiłek organizacyjny i materialny — po dwu latach od wyborów poprzednich — było by za wcześnie i wniosek przeszedł jednomyślnie.

Najwięcej czasu i zainteresowania poświęcono sprawom międzynarodowym, tym bardziej że zarysowały się dwa różne ujęcia tego tematu. Pierwszy z nich znalazł wyraz w referacie kierownika działu zagranicznego EZN, dr. J. Starzewskiego, w którym wskazane zostały perspektywy sprawy polskiej na torze przede wszystkim polityki amerykańskiej, optymistycznie przez mówcę — choć z pewnymi zastrzeżeniami — oświetlonej. Min. Z. Berezowski natomiast wytknął temu ujęciu pominięcie czynnika francuskiego w dzisiejszej polityce światowej, tym ważniejszego dla nas, że Francja jest żywiej i bezpośredniej od Stanów Zjednoczonych zainteresowana sprawami Europy, więc i naszmi. Chiny są — zdaniem Z. Berezowskiego — dla Francji oraz Europy całej, jak i dla nas, niebezpieczeństwem przyszłym, obecnym zaś — Rosja. Aktualne rozbieżności amerykańsko-francuskie, to niemniej, raczej różnice między polityką obecnych rządów Paryża i Waszyngtonu, niż między interesami narodów, jak to generał de Gaulle stale podkreśla.

W rozprawie nad problematyką międzynarodową, zarówno przedstawiciel EZN, jak wszyscy dyskutanci, odcięli się stanowczo od niektórych akcentów, wprowadzonych ostatnio do polskiej publicystyki a ujmujących niewłaściwie zagadnienie stosunku do NRF i punktu wyjścia ewentualnych kontaktów polsko-niemieckich.

Cała debata w RJN toczyła się na wysokim poziomie i w atmosferze rzeczowego traktowania przedmiotów obrad.

Po zagajeniu zebrania przez przewodniczącego dr. T. Bieleckiego i przyjęciu porządku dziennego sprawozdanie połączonych komisji prawno-regulaminowej i wewnętrzno-politycznej o wniosku w sprawie kadencji TJN złożył K. Harasimowicz (Stron. Nar.): komisja opowiedziała się za tym wnioskiem o przedłużenie kadencji RJN z lat dwu na cztery i zmianę w tym kierunku art.15 statutu Rady, do czego wymagana jest kwalifikowana większość dwu trzecich. W razie przyjęcia tej poprawki wybory przypadną na milenijny rok 1966, co zostało rozważone w komisji, ale czego nie uznano za przeszkodę. Po myśli wywodów referenta, RJN przyjęła wniosek komisji jednomyślnie.

WYKONANY I PRZYSZŁY BUDŻET

Z kolei przystąpiono do sprawozdania komisji finansowej o budżecie na rok 1964-65, które złożył gen. J.Wiatr (Liga Niep.): budżet wyraża się po stronie wydatków i dochodów

(Dokończenie na str. 12)

fraszki

MODA NA SUKNIE Z OBNAŻONYM BIUSTEM

Z punktu widzenia nudysty,
To jest postęp oczywisty.

NIEPOPRAWNY DONŻUAN

Nawet i w grobie po swoim zgonie
Wolałby leżeć przy cudzej żonie!

RÓŻNICA W ADRESIE

Do Polski przyjechali dwaj goście z wizytą:
Do narodu — Kennedy, do Gomułki — Tito.

Rawicz

F°P 9156

KRONIKA WOJSKOWA

STANY ZJEDNOCZONE A.P. Podług oświadczenia sekretarza obrony, McNamara, zwiększono w ciągu ostatnich trzech lat pogotowie i potęgę amerykańskich sił zbrojnych w następującym stopniu: strategiczne bronie niekonwencjonalne o przeszło 100 proc., ilość gotowych dywizji o 45 proc., ilość eskadr lotnictwa taktycznego o 33 pro., pojemność lotnictwa transportowego o 75 proc., taktyczne bronie atomowe w Europie o 60 proc., tempo budowy i modernizacji okrętów o 100 proc., wreszcie ilość jednostek lądowych wyspecjalizowanych w guerilli o 600 proc. Dane te wymagają dwu komentarzy: 1) wzrost ilości gotowych dywizji o niemal połowę nie oznacza, że przybyło tyleż nowych dywizji, a jedynie że zwiększono gotowość istniejących dywizji. Sformowano tylko 1 nową dywizję jako powietrzno-szturmową, wobec czego wojsko ma obecnie 17 dywizji, do których doliczyć trzeba 3 dywizje piechoty morskiej, gdy sztab wojska domagał się utworzenia czterech nowych dywizji. 2) Równolegle z ogromnym wzrostem ilości wyrzutni i zapasów rakiet międzykontynentalnych nastąpiło zmniejszenie ilości bombowców strategicznych z 1.600 do 1.000, zrównoważone do pewnego stopnia tym, że obecnie, jak oświadczył gen. Taylor, nie 250 lecz 500 bombowców B-52 i B-58 może natychmiast startować

Wobec wycofania rakiet średniodystansowych „Thor" i „Jupiter". które spowodowały całkowitą lukę w tej dziedzinie, Pentagon kładzie obecnie jak największy nacisk na wyprodukowanie nowoczesnych rakiet tego typu o zasięgu ca 2.000 mil. Rakiety te, jako bardziej precyzyjne. mają mieć głowice atomowe o 1/8 mniejsze od głowic międzykontynentalnych rakiet „Minuteman". Ich seryjna produkcja ma być do 1970 roku rozkręcona. Nowa wersja międzykontynentalnej rakiety „Titan II" o zasięgu do 13.000 klm może być niemal tak samo szybko wystrzeliwana jak rakieta „Minuteman", gdy „Titan I" i „Atlas" potrzebują co najmniej 15 minut. Przygotowuje się ponadto rakietę o zasięgu do 20.800 klm. Warto również podkreślić, że udało się zwiększyć siłę wybuchową głowic rakietowych przy równoczesnym zmniejszeniu ich wymiarów i wagi. tym samym zwiększając ich zasięg. i że zakończono doświadczenia z dalekosiężnymi rakietami lotniczymi „Hound Dog", które już wchodzą na uzbrojenie eskadr. Obecnie przeprowadza się studia nad lotniczą rakietą przyziemną o zasięgu 1.500 mil. Jeśli idzie o rakiety przeciwrakietowe, to jak się zdaje daleko jeszcze. zresztą tak samo w Sowietach, do zadowalającego pokonania pietrzących się trudności, choć prócz rakiet „Zeus", na które wydano już 1,5 miliarda dolarów, przygotowuje się odmiany „Nike X" i „Sprint". W dziedzienie rakiet kosmicznych największym osiągnięciem było wprowadzenie w orbitę ziemi modelu kapsuły dla 3 kosmonautów, ważącej aż 6,5 ton a z 3 stopniem rakiety nawet 16,8 ton. Było to 6. udałe wystrzelenie potężnej rakiety „Saturn".

Z działu lotnictwa pilotowanego warto wymienić następujące osiągnięcia: Nowe samoloty transportowe C-141 „Starlifter", które mogą zabierać 154 żołnierzy z pełnym uzbrojeniem, przeskakują bez dopełniania nie tylko Atlantyk, ale także Pacyfik. Eskadra myśliwców „F-104" przeleciała w styczniu z Kalifornii do Hiszpanii, więc przestrzeń niemal 10.000 klm, w ciągu 10 godzin i 20 minut, choć pobierała aż 6 razy paliwo w powietrzu. Nowe samoloty rozpoznawcze A-11 mogą na wysokości 70.000 osiągnąć szybkość 3,5 Mach a jeszcze na wysokość 100.000 stóp szybkość 2 Mach. Jest ich już 12 w operacyjnej dyspozycji. Prototyp superbombowca XB-70 odbył niedawno pierwsze próby silnikowe na ziemi. Związane z wyprodukowaniem 3 bombowców tego typu studia i doświadczenia pochłonęły już ponad 1 mlr. dol.

Wojsko otrzymuje sporo nowych typów uzbrojenia, np. bezodrzutowe działa ppanc. 120 mm, miotacze ognia M-113, atomowe pociski dla dział 155 mm czołgi dowodzenia M-114, samochody pancerne „Gen. Sheridan — XM-551", uzbrojone w rakiety „Lance" które mają zastąpić przestarzałe „Lacrosse" i „Little John" a ewentualnie także „Honest John". itd. Nowo utworzona 11 dywizja powietrzno szturmowa ma 459 samolotów i helikopterów a tylko 1150 lekkich pojazdów. gdy normalna dywizja ma 101 samolotów i helikopterów oraz 3.200 pojazdów cięższego typu. Obecny szef sztabu wojska, gen. Wheeler, ma — wbrew pierwotnym wersjom — zostać przewodniczącym kolegium szefów sztabu, w miejsce gen. Taylora, a nie naczelnym dowódcą sił NATO w Europie, w miejsce gen. Lemnitzera.

Marynarka wojenna składa się obecnie z 3.250 jednostek pływających, w tym 875 w pełnej gotowości, oraz 6.375 samolotów. Jej personel liczy 670.000. Do tego dochodzi trzydywizyjny korpus piechoty morskiej, liczący 190.000 oficerów i szeregowych i bogato wyposażony w samoloty i helikoptery. Spośród budowanych 41 okrętów podwodnych o napędzie atomowym, uzbrojonych w rakiety „Polaris", 14 już pełni służbę, 15 dalszych zostało zwodowanych a 12 znajduje się jeszcze w budowie. Do końca br. ilość operacyjnych jednostek tego typu ma dojść do 24. Za to zdejmie się z 9 okrętów podwodnych przestarzałe rakiety „Regulus" Aż 28 okrętów podwodnych ma być uzbrojonych w. rakiety „Polaris—III" o zasięgu ca 2.500 mil. Pierwszy okręt tego typu „Washington". który operował bez ładowania silników przez 880 dni, w tym 630 w zanurzeniu, zostanie przerobiony na pojemność 17 rakiet „Polaris". Przyjęty w lutym na służbę nowy lotniskowiec „America" ma wyporność 77.000 ton i szybkość 30 węzłów. W skład 6. floty, operującej na Morzu Śródziemnym, wchodzą obecnie 3 nawodne okręty o napędzie atomowym: największy lotniskowiec „Enterprise" i krążowniki „Long Beach" i „Bain Bridge". Szefostwo sztabu marynarki wojennej obejmie po adm. Anderson adm. McDonald.

Kage.

PRZEKAZY PIENIĘŻNE
DO POLSKI
PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU TRANSFEROWEGO
HASKOBA LTD
121, EARLS COURT ROAD
LONDON. S.W.5 FRE 7888
PACZKI WOLNE OD CŁA

TADEUSZ PODGÓRSKI

POCHWAŁA PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

LOTNIKOM W BLACKPOOL DOBRZE SIĘ WIEDZIE

Jest ich 133.

Dokładnie 133 — zapewnia sekretarz Stowarzyszenia Lotników p. Kazimierz Wroński. Łatwo sprawdzić, bo wszyscy jak jeden mąż są członkami Stowarzyszenia. Kto odchodzi wymeldowuje się do innego koła. Kto przychodzi zaraz zgłasza się w lotniczym „Eagle Club" przy 175, Hornby Road. Nikogo nie potrzeba szukać. Nikt się nie zgubi. Przykład nie tylko godny naśladowania dla innych broni, lecz dowodzący niezbicie, że w pewnych okolicznościach i Polacy potrafią być solidarni.

Co o tym przesądza?

Najistotniejsze zdają mi się dwa czynniki: lotnicy polscy zdobyli sobie w W. Brytanii wyjątkowy status. Czują to, cenią i pilnują. To jedno. Drugie — to swoista elitarność. Nie podkreślają tego, ale przecież łatwo da się wyczuć, że uważają się za śmietanę armii. To znowu zobowiązuje do solidarności grupowej. Tak było przed wojną. Tak było podczas wojny. Tak pozostało po wojnie. Przykład grupy lotników w Blackpool wymownie to tylko potwierdza.

Polak lubi się wyróżniać. Przyjemnie być wyróżnionym, a więc jest także rzeczą przyjemną należeć do grupy wyróżniających się. Oto bodajże cała tajemnica wyjątkowej solidarności lotniczego Blackpool.

A JEST SIĘ CZYM POSZCZYCIĆ

Ale nie tylko na stosunki polskie wyróżnia się ta grupa. W Blackpool wyróżniają się w ogóle. Cieszą się wielką estymą jeszcze z okresu wojny. Obecnie mają najładniejszy klub w tym mieście rozrywek i wszelakich uciech. Klub cacko, najpiękniejszy polski lokal w W. Brytanii. Dobra dzielnica. Przyjemny zajazd. Nowoczesne urządzenia. Piękna sala dancingowa i luksusowy bar. Nad barem oznaki wszystkich polskich dywizjonów lotniczych jakie były w W. Brytanii. Nad podium orkiestry oryginalne, chociaż nieruchome śmigło samolotowe. Za to bar podczas częstych tu zabaw pracuje na wysokich obrotach.

Zaplecze to doskonała polska kuchnia, którą prowadzi p. Ludwik Szulc. Ta kuchnia podbiła dobrze sytuowanych Anglików, których aż ponad 500 jest członkami tego polskiego klubu. Notable miejscy, szacowni emeryci, wolne zawody i kupcy. Kontakt był łatwy, bo jeszcze w latach wojny, gdy mieściło się tu polskie lotnicze centrum wyszkolenia, okryci legendą skrzydlaci rycerze podbili nie jedno dziewczęce serce, zdobywając tą drogą szybki wstęp do wielu rodzin. Toteż nic dziwnego, że po wojnie osiedli tu dość licznie, pozakładali rodziny, prawie wyłącznie polsko-angielskie, i wżyli się w miasto. które ich tak gościnnie przyjęło.

Obecnie klub lotników, ciągle zresztą rozbudowywany dzięki niezmożonej energii prezesa Franciszka Bakalarskiego, który najwyraźniej kocha się w ciągłych udoskonaleniach, jest świetnie prosperującym przedsiębiorstwem o £.20.000 rocznego obrotu, poza wydzieloną restauracją

Oprócz funkcji towarzysko-rozrywkowych placówka ta jest ośrodkiem zorganizowanego życia polskiego, bo korzysta z niej również ponad 40 Polaków spoza środowiska lotniczego. Co drugą niedzielę w jednej z sal klubowych odbywają się polskie nabożeństwa, które obecnie odprawia ks. Krzysztof Kozakiewicz, przy frekwencji 40—50 osób. Corocznie odbywa się ogólnopolski opłatek i święcone, ściągające do 70 proc. zamieszkałych w mieście Polaków. Urządza się także imprezy i obchody narodowe 3 maja, święto żołnierza i 11 listopada. Wreszcie koło Stowarzyszenia Lotników opiekuje się chorymi.

Czasem zdarzy się wyjątkowo wzruszająca uroczystość, jak chociażby grudniowa „Children party" dla 200 dzieci, z których niestety tylko nieznaczna część mówi po polsku.

PRAWIE SAMI PRZEDSIĘBIORCY

Szczególna pochwała należy się lotniczej przedsiębiorczości. Blackpool właściwie nie ma przemysłu, jeśli nie liczyć letniego przemysłu rozrywkowego. Kto więc się tu osiedlał albo szukał pracy w niedalekim Preston, lub też — co wybrała zdecydowana większość — musiał myśleć o własnym przedsiębiorstwie. A że najprostsze nadmorskie przedsiębiorstwo to hotel, więc co drugi Polak został tu hotelarzem. Część od razu się w takie właśnie przedsiębiorstwa wżeniła, ale znowu trzeba przyznać że wkładem polskiej zapobiegliwości i inwencji rozbudowała je szybko, często na kontynentalny sposób. Największe hotele mają dziś panowie: Franciszek Bakalarski, tuż nad promenadą 50 pokojowy Gobles Hotel z codziennymi przyjęciami i stałą obsługą 26 osób; Henryk Stadnik duży Elgin Private Hotel; Zygmunt Collard-Kołodziejski — Bedford Hotel i Claremount Hotel. Jest jeszcze kilka mniejszych hoteli i kilkadziesiąt tzw. boarding houses.

Ale na hotelach przedsiębiorczość polska się nie kończy. Stanisław Knapik i Jan Kaye-Kamiński mają w centrum miasta duży sklep jubilersko-zegarmistrzowski. S. Rębowski ma duży garaż, Czesław Iwański handluje meblami i dywanami, Paweł Zygmunt sprzedaje zabawki, B. Iwanowicz futra. Są fryzjerzy, krawcy, cukiernicy, fotograf, architekt, farmer kurzy i parę innych zawodów. A spoza lotników ślązak Bruno Farlkus ma duże biuro sprzedaży nieruchomości, M. Zagórski zakład elektrotechniczno-samochodowy, a dwóch marynarzy ma własne przedsiębiorstwa połowów morskich

W sumie będzie tych samodzielnych przedsiębiorców blisko setki. Chyba najwyższy procent w stosunku do innych skupisk polskich. Oczywiście poza kilkoma interesami dziś już więcej niż zasobnymi, reszta są to placówki pracowite, ale każda z nich po paru latach zapewnia spokojną emeryturę.

Gdy do tego dodamy paru inżynierów i kilku techników zatrudnionych na dobrych stanowiskach w sąsiednich miastach obraz skupiska polskiego w Blackpool rysuje się jako zasobny i dobrze urządzony. Grupa robotników najemnych stanowi zaledwie kilkanaście osób. Tak mnie przynajmniej zapewniano, bo tych przecież najtrudniej odszukać.

CO NIESIE JUTRO?

O ile to co polskie dziś wygląda w Blackpool nieomal imponująco, o tyle pewien niepokój budzi dalsze jutro. Dzieci z polskich ojców jest w ośrodku przypuszczalnie około 200, ale już dziś nie podobna ich uważać w pełnym tego słowa znaczeniu za polskie dzieci. Wychowane w angielskim środowisku rodzinnym, chociaż o Polsce i Polakach, dzięki pozycji swoich ojców mają jak najlepsze wyobrażenie, ani po polsku nie myślą ani nie mówią. Najprawdopodobniej w przyszłości zachowa się u nich polski sentyment, ale żadnej specyficznej grupy polskiej już nie będą tworzyły. Zatem osiedlenie polskie w Blackpool jest osiedleniem tylko jednego pokolenia. Co do tego nie ma chyba wątpliwości.

Inna sprawa czy coś z tradycji i pozycji polskiej da się zachować na dłużej. Grupa realistów zastanawia się nad tym i słyszałem o ciekawym projekcie wprowadzenia dorastających dzieci lotników na członków stowarzyszenia. Są podobno co do tego pewne obiekcje, że to niby bogaci w dzieci zyskają na zebraniach po parę głosów więcej a przysięgli kawalerowie znajdą się zupełnie osamotnieni, ale przecież w tych warunkach nic lepszego wymyśleć się nie da. Gdyby zaś ten projekt zaakceptowano w następnym pokoleniu utrzyma się przynajmniej tradycyjny lokal polski, kultywujący legendę skrzydlatych bohaterów. Dobre i to, gdy nie może być lepiej.

Na zakończenie jedna jeszcze uwaga. Lotnicy z natury są wyrozumiali dla cudzych przekonań. Przyjęli to zapewne od Anglików. Przestrzegają tej zasady w stosunku do wewnętrznej polityki emigracyjnej chociaż odnoszę wrażenie, że raczej od niej nieco stronią. Nie dziwią się też zbytnio gdy ktoś zmienia polskie nazwisko na angielskie. Zapytałem niechcący czy to pomaga w prowadzeniu interesów. I o dziwo, otrzymałem kategoryczną odpowiedź że nie. Dali mi ją dwaj kupcy, którzy pod dobrymi polskimi nazwiskami prowadzą dobre i szanowane interesy. Najwyraźniej nazwiska polskie im nie przeszkadzają. Dlaczego więc inni je porzucają? I znowu ci sami informatorzy wyjaśniają, że przez naiwność albo dla dziwnej mody, na dowód czego podano mi przykład kogoś o historycznym polskim nazwisku, który nie wiedzieć czemu zmienił je nawet nie na angielskie czy szkockie, ale na włoskie. Do czego mu to w Anglii potrzebne, można tylko pokiwać głową.

Jednak polską przedsiębiorczość w Blackpool naprawdę należy pochwalić.

TEODOZYA LISIEWICZ

UBÓSTWO SŁOWNICTWA

XXXII Międzynarodowy Kongres PEN Klubów, który odbył się w czerwcu w Oslo, stał pod znakiem semantyki, nauki stosunkowo młodej, budzącej obecnie żywe zainteresowanie tym, że zajmuje się szukaniem idealnej formy tłumaczenia jednego języka na drugi. Dzięki semantyce ludzie zaczynają mieć złudzenie — a kto wie, cdy nie żywią słusznej nadziei? — że nawet narody zupełnie odległe sobie kulturą dojdą wreszcie do wzajemnego zrozumienia się i porozumienia. Nie przeczę, że tak może będzie, lecz mimo interesujących wywodów prof. I. A. Richardsa, specjalisty w dziedzinie semantyki i głównego mówcy Kongresu — w semantykę nie wierzę.

Wypowiedzi na ten temat były liczne. Mimo obecności delegatów z 41 krajów, można było łatwo podążać za dyskusją, gdyż przyjęte języki, angielski i francuski, nadawano równocześnie w przekładzie z jednego na drugi. I. A. Richards bardziej profesor aniżeli literat. kładł duży nacisk na rozpoczynającą się erę maszyn do tłumaczenia. Pisarze zaś twierdzili, że mimo doniosłości wynalazku, maszyna nigdy nie odda pierwiastka twórczego, którego cząstkę każdy z nich chwyta z oryginału i przenosi w tekst tłumaczony, pracując nad nim bezpośrednio. Jak później mogłam wywnioskować z osobistych rozmów pisarze twórczy, a w przeciwieństwie do wyrobników i fabrykantów literatury, w ogóle nie wierzą w semantykę. Jest im bardziej zrozumiała i dostępna intuicja pisarska i zdolność przenikania myśli, aniżeli tłumaczenie ujęte w formułkę niemalże algebraiczną.

Kiedy dyskusja podczas pierwszej sesji plenarnej doszła do szczytowego punktu ścierania się poglądów, o głos poprosił Australijczyk. Bez artystycznego wstępu, jakim pisarze zwykle zdobią swoje przemówienia, powiedział po prostu: rozprawiamy o semantyce, o sposobie idealnego przekazania myśli jednego narodu drugiemu, a powinniśmy się raczej zastanawiać nad tym, ażeby nie stać się wysepką coraz boleśniej izolowaną od olbrzymiego kontynentu czytelników. Roztrząsając kwestię semantyki nie zwracamy uwagi na to, że społeczeństwa coraz mniej znają swój własny język; że słownictwo mas kurczy się z roku na rok, że ogranicza się — w najlepszym wypadku — do 2-3 tysięcy słów użytkowych. Jako przykład podał uniwersytet w Melbourne, gdzie ostatnio połowa zapisujących się studentów nie umiała wypełnić wstępnych formularzy, z powodu nieznajomości wyrażeń zawartych w pytaniach. Dyskutujemy o semantyce — mówił — mającej ułatwić narodom porozumienie, a lepiej pomyśleć o szkoleniu i zwiększeniu armii instruktorów, którzyby uczyli ludzi ich własnego języka. W przeciwnym razie pisarze zostaną osamotnieni; kto będzie ich czytał jeżeli jednostki społeczeństw, dla których piszą, nie potrafią porozumieć się z własnym „ja"? Bo zdolność myślowa ich „ja" przez ograniczenie zasobu słów, słabnie coraz bardziej. W dużej merze, po ostatnej wojnie, przyczyniły się do tego emigracje, jak np. w Australii, gdzie przyjęto blisko półtora miliona ludzi różnych narodowości. Nowy element starał się przede wszystkim przyswoić sobie tyle słów z języka kraju osiedlenia ile trzeba. ażeby nie miec trudności w pracy. I na tym poprzestał. Obecnie ich własny język stopniowo zanika, nowy zaś niczym się nie wzbogaca. Zdolność myślowa tych ludzi zasklepia się, niepokojąco eliminując potrzebę wyjścia poza użytkową granicę.

Spomiędzy wszystkich wypowiedzi. trzeźwa uwaga Australijczyka — nota bene Węgra z pochodzenia — najbardziej trafiła mi do przekonania. Potrząc na kilkuset intelektualistów, przedstawicieli 41 narodów, pomyślałam że nie w przyszłości ale już dzisiaj pisarze zaczynają stanowić coś w rodzaju wyspy otoczonej morzem ignorancji czytelników, zatracających kulturę mowy, najsprawniejszego narzędzia nie tylko do wyrażania myśli, ale i do utrzymania jej w stanie ciągłego rozwoju.

A jak jest z nami, polską emigracją? Mam na myśli starszych, którzy szczycimy się tym, że zachowaliśmy bogactwo dobrej polskiej mowy. Nie zdajemy sobie jednak sprawy, jak ta ubożeje; jak wychodzą z użycia słowa przez to, że nie mają zastosowania w obcych warunkach; jak słownictwo zwęża się, jak często brak mu właściwych określeń' a przez to zwięzłości. Stąd powstaje cechujące nas coraz bardziej gadulstwo, które wynika z stałego powtarzania ubożejącego zasobu po to, by wreszcie sklecić z niego zdanie najlepiej oddające sens myśli. Wystarczy wziąć do ręki książkę sprzed siedemdziesięciu lat, czy sprzed trzydziestu. Różnicę spostrzega się natychmiast. Formułowanie myśli odnajduje nagle swój zagubiony wątek, chociaż początkowo z trudem, bo nie łatwo już dotrzymać kroku nurtowi, który zachowany w literaturze, tracimy przez zasklepienie się w coraz szczuplejszej ilości określeń codziennych.

Mam wrażenie,że dzieje się to przez pewnego rodzaju lenistwo, przez brak kontroli nad sobą. Jaka rada? Zmuszać się do uważnego czytania zdań, a nie przebiegać po nich tylko po to, ażeby dążyć za wątkiem powieściowym i — starać się za wszelką cenę rozszerzać tematykę rozmów, która kurczy się jeszcze bardziej zastraszająco.

NOWA SIEDZIBA AMBASADY BRYTYJSKIEJ W WARSZAWIE

W dniu 10 czerwca b.r. — jak podało Radio Warszawa — odbyła się uroczystość przekazania nowej siedziby ambasady brytyjskiej w Warszawie. Projekt budynku, który wybudowano u zbiegu ulic Bagateli i Flory, opracowany został przez architekta angielskiego — Bedforda z Londynu. Adaptację projektu wykonał inżynier architekt Klimaszewski.

Otwierając nową siedzibę ambasady, G. L. Clutton, ambasador W.Brytanii w Polsce stwierdził: „Mam nadzieję, że mieszkańcy Warszawy będą uważać tę rezydencję za godny wkład zarówno artystyczny, jak architektoniczny, w odbudowę stolicy". (FEC)

B.D.I.C

Obrady u Lotników

Dnia 27 czerwca b.r. odbyło się Walne Zebranie Stowarzyszenia Lotników Polskich. Zagaił je Płk. A. Gabszewicz. Podkreślił on, że za najważniejsze zadanie uważa obecnie pogłębienie ducha koleżeńskiego, zapewnienie trwałej opieki nad lotnikami i ich rodzinami oraz jak najściślejszą współpracę wszystkich ogniw Stowarzyzenia, znajdujących się w Argentynie, Australii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych AP i w W.Brytanii.

Przewodniczącym Walnego Zebrania wybrano Kol. J. Czechowskiego, wiceprzewodniczącymi: B. Lasotę, C. Września. Sekretarzem Kol. A. Kuncewicza.

Sprawozdanie za rok 1963 oraz plan zamierzeń i preliminarze budżetowe m.i. wszystkich 4-ch Domów SLP (Londyn, Blackpool, Derby, Nottingham) na rok 1964, opracowane przez Radę Stowarzyszenia — przyjęto bez zastrzeżeń.

Zebranie dokonało wyboru członków Rady w miejsce ustępujących po upływie kadencji.

W czasie zebrania zapoznano się ze sprawozdaniami wszystkich Kół Stowarzyszenia. Duże zainteresowanie wzbudziły sprawozdania ogniw z poza W.Brytanii. Nie ulega wątpliwiści, że Stowarzyszenie Lotników Polskich jest dzisiaj organizacją nie tylko o dobrych podstawach finansowych, ale ma już zasięg światowy. Co więcej delegaci Kół z W.Brytanii podkreślili w dyskusji, że są dumni ze swych Kolegów mieszkających w Australii i Ameryce (Stany Zjednoczone, Kanada i Argentyna), którzy w trudnych warunkach, bezpośrednio po osiedlenu się, potrafili zbudować ogniwa Stowarzyszenia, wykonujące nie tylko zadania samopomocowe, ale również działające na zewnątrz dla dobra polskiej sprawy. Z ust Płk. Gabszewicza padły słowa wielkiego uznania dla przewodniczącego Rady Skrzydeł SLP w Stanach Zjednoczonych Olgierda Łuczkowskiego, wybitnego działacza społecznego o dużym autorytecie.

Wiele uwagi poświęcono młodzieży polskiej. Niezależnie od dotychczasowego zainteresowania i udzielanej pomocy, Stowarzyszenie ma w chwili obecnej najważniejsze dwa zadania do spełnienia. Jedno to wydatna pomoc na rzecz mającej powstać stanicy harcerskiej, drugie zadanie — to stworzenie w Stowarzyszeniu nowej kategorii członków z pośród Polaków, mających przeszkolenie lotnicze. Z wnioskiem takim wystąpiło Koło Derby, na terenie którego w chwili obecnej jest 16-tu Polaków będących kadetami lotnictwa (t.zw. Air Cadets). Należy podkreślić, że od wielu lat istnieje w Stowarzyszeniu Klub Szybowcowy, mając swą siedzibę w Lasham. Klub Szybowcowy — to doskonała jednostka orgnnizacyjna w Stowarzyszeniu, zdyscyplinowana i o dużych walorach społecznych. W ostatnich zawodach pilot Klubu, młody inżynier, Kol. E. Jerzycki uzyskał 3-cie miejsce. Przy oklaskach stwierdzono, że Stowarzyszenie jest dumne ze swego Klubu Szybowcowego i z nim wiąże największe nadzieje, o ile chodzi o wciągane młodzieży, mającej zainteresowanie zagadnieniami lotniczymi, do Stowarzyszenia.

•

Sprawą, którą referował osobiście na Zebraniu prezes pułkownik Gabszewicz — to koordynacja prac wszystkich jednostek SLP nacałym świecie.Pod tym względem zresztą płk. Gabszewicz otrzymał pełnomocnistwa od Rady Skrzydeł Stowarzyszenia w Stanach Zjednoczonych, reprezentującej Skrzydła (takie są tam nazwy Kół) w Los Angeles, Buffalo, Chicago, Detroit i New York. Ze zrozumiałych względów poszczególne krajowe organizacje Stowarzyszenia mają odrębne statuty opracowane na podstawie obowiązujących na miejscu przepisów. Jednakże ideowe założenia i zadania, szczególnie opiekuńcze są te same. Nadzieje na jeszcze ściślejsze powiązanie prac i uszeregowania zadań są związane ze zbliżającym się Zjazdem Lotników Polskich, zamieszkałych w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Zjazd odbędzie się w New Yorku w dniach 5 i 6 września b. r., a z kolei odbędzie się zebranie połączonych Rad Skrzydeł z Kanady i Stanów Zjednoczonych. Należy spodziewać się, że na tym zebraniu będzie uhwalony pewnego rodzaju akt wspólnoty organizacyjnej, powołujący do życia Radę Światową Stowarzyszenia Lotników Polskich. Dodać należy, że protektorat nad Zjazdem przyjął Generał pilot Inż. L. Rayski, dowódca w Polsce przed wojną, pionier i organizator lotnictwa podskiego. Jak wynika z listów otrzymanych z drugiej półkuli lotnicy polscy oczekują z radością na przyjazd Gen. Rayskiego. Mówiąc o Zjeździe w New York powiedział Płk. A. Gabszewicz: „Niech nasze serdeczne życzenia towarzyszą Generałowi w Jego podróży za ocean", co przyjęto długotrwałymi oklaskami.

Omawiając działalność Stowarzyszenia na polu dobroczynnym, lotniczym i ogólno-polskim nie zapomniano w czasie obrad o Kościele Katolickim. Wspominając rolę Kościoła w historii Polski i obecne położenie, delegaci oglądali ze wzruszeniem obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nadesłany z Rzymu z osobistą dedykacją Jego Eminencji Księdza Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski. Jakby w podzięce za to wystąpił generalny Sekretarz Stowarzyszenia, major B. Drobiński (b. dowódca sławnego z okresu „Battle of Britain" 303-go Dywizjonu Myśliwskiego) z wnioskiem, aby przepiękną Modlitwą ułożoną przez Księdza Dziekana Rafała Gogolińskiego-Elstona za polskich lotników, żywych i umarłych — uznać jako oficjalną Modlitwę Stowarzyszenia Lotników Polskich. Wniosek ten przyjęto naturalnie przez aklamację, ale podkreślić należy, że dawno nie słyszano tak długich i gorących oklasków.

•

Walne Zebranie Stowarzyszenia Lotników Polskich odbywa się zawsze w okresie Tygodnia Lotnika Polskiego, które Stowarzyszenie organizuje corocznie. Celem Tygodnia, to nie tylko zbieranie funduszów na cele dobroczynne Stowarzyszenia. Jest to również akcja, mająca na celu przypominanie całemu światu o udziale lotnictwa polskiego w drugiej wojnie światowej, a m.i. w „Battle of Britain", w której co 8-my pilot był Polakiem. Przy tej okazji, jak sądzić należy. świat wolny przypomina sobie również, że Kraj nasz nie jest wolny. W niedzielę dnia 28 czerwca b.r. delegacja Stowarzyszenia w osobach majora pilota C. Główczyńskiego, wiceprezesa Stowarzyseenia oraz mgr. C. Palucha, przewodniczącego Komitetu Wykonawczego i majora J.Wolfa, członka Rady Stowarzyszenia, złożyła pod Pomnikiem Lotnika Polskiego w Northolt wieniec ku czci poległych lotników polskich.

Z. M.

Raczej szczęśliwym należy nazwać zrządzenie losu, które sprawiło, że na tę pożegnalną kronikę przypadło sprawozdanie z „Apelu Pisarzy 2 Korpusu w 20-lecie bitwy o Monte Cassino". Tego rodzaju sprawom bowiem służyła ona w ciągu niespełna 15 lat swego nieprzerwanego istnienia pod jedną redakcją. Na Apel ten, który odbył się w „Ognisku Polskim" zgłosili się in personan J. Bielatowicz, J. Bujnowski, J. Czechowiczówna-Mieroszewska, M. Czuchnowski, C. Dobek, J. Kowalewski, H. Mirzwiński, B. Obertyńska, N. Sądek i J. Żywina. Przewodniczył gen. Z. Bohusz-Szyszko, a kilkakrotnym deklamatorem i lektorem był F. Konarski (Ref-Ren), występując sam jako pisarz.

Gen. Bohusz-Szyszko w imieniu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, którego jest wiceprzewodniczącym, powitał zebranych z gen. W. Andersem na czele, który prowadząc jako dowódca do zwycięstw, jednocześnie otaczał serdeczną opieką wszelkie rodzaje twórczości w szeregach 2 Korpusu. Następnie Jan Bielatowicz, jako znawca i wydawca poezji 2 Korpusu, zapowiadając poszczególnych poetów na Apelu, stwierdził we wstępie, że byłoby niemożliwe wymienić wszystkich pisarzy związanych z 2 Korpusem. Potraktował więc ten dwugodzinny apel, jako koleżeńskie spotkanie z myślą o tych, którzy padli na polu chwały i zapowiedział, że wieczór będzie się składał przede wszystkim z utworów związanych ze szczytowym punktem w życiu Korpusu, jakim była Bitwa o Monte Cassino.

Na pierwszy ogień poszedł urywek z relacji o bitwie gen. W. Andersa, w jego książce pt. „Bez ostatniego rozdziału" odczytany przez Ref-Rena. Następnie Beata Obertyńska świetnie recytowała z pamięci swe wiersze: „Generale!...", „Drzewa na Monte Cassino" i „Wojna". J. Bujnowski odczytał następnie długą elegię z wielokrotnie powtarzającym się „Chwała poległym na polu chwały". Kilka subtelnych liryk, jak „Jaśmin", „Poległemu Koledze". „Połóż swe dłonie" przedstawił H. Mirzwiński, po czym J. Żywina odczytał długi urywek ze swego poematu o Bitwie pod Monte Cassino. Z kolei Ref-Ren odczytał szkic G. Herlinga-Grudzińskiego „O sztuce podróżowania", o tyle tylko związany z tematem apelu, że napisany na posterunku obserwacyjnym w ciągu trwania bitwy. J. Kowalewski odczytał urywki ze swego opowiadania z tego okresu „O Maciusiu Szarym", opromienione żołnierskim humorem. N. Sądek opowiedział w formie humoreski garść wspomnień z pobytu we Włoszech podczas wojny, kiedy „czuł się potrzebny". Kilka swych tekstów wykonał recitativo F. Koiarski przy akomaniamencie J. Kropiwnickiego, po czym bas P. Prokopieni, niegdyś członek Karpackiej Czołówki Teatralnej, odśpiewał potężnym głosem „Czerwone Maki na Monte Cassino" pióra Ref-Rena z muzyką Alfreda Schütza.

Po krótkiej przerwie odczytane zostały urywki prozy z książki gen. Bohusza-Szyszki „Czerwony Sfinks", Józefa Czapskiego „Wspomnienia Starobielskie", Beaty Obertyńskiej „W domu niewoli", pisanej pod pseudonimem Marii Rudzkiej, C. Dobka „Jesteśmy znowu wojskiem..." M. Czuchnowski recytował kilka wierszy, a Krystyna Dygat deklamowała z wielkim kunsztem kilka liryk Jadwigi Czechowiczówny, Bolesława Bobrzyńskiego, Jana Olechowskiego, przedwcześnie zmarłego w Ameryce, bardzo pupularnego poety 2 Korpusu. Wreszcie Apel zakończył się kilku piosenkami Ref-Rena w wykonaniu świetnej pieśniarki Renaty Bogdańskiej: „Po mlecznej drodze", „Słoneczniki", „Strach", „Na błękitnym akordeonie", wykonanych raczej mezzovoce. Wyraźnie wzruszony gen. Anders wstąpił potem na scenę, aby w kilku słowach podziękować organizatorom za chwilami głęboko wzruszający wieczór.

Apel ten poprzedzony został zebraniem, poświęconym innemu rodzajowi twórczości. Było to posiedzenie naukowe Polskeigo Uniwersytetu na Obczyźnie, któremu w obecności rektora prof. C. Jędrzejewiczowej przewodniczył dziekan wydziału humanistycznego prof. T. Sulimirski. Poświęcone ono było wykładowi habilitacyjnemu dr Stanisława Bóbr-Tylingo, profesora St. Mary's University w Halifax (Nova Scotia) w Kanadzie. Wykład został wygłoszony wobec licznego audytorium zebranego w sali Domu Techników, poświęcony był przyczynkowi do historii dyplomatycznej XIX wieku. Tytuł jego brzmiał: „Sprawa polska w okresie od czerwca 1862 do stycznia 1863 r.". Na podstawie drobiazgowych badań, przedstawione zostały ówczesne nieudane próby pozyskiwania sobie przez Rosjan społeczeństwa polskiego dla ugody z caratem, oraz ich ocena w opinii europejskiej. W ten sposób uchwałą senatu prof. S. Bóbr-Tylingo, powiększył grono ciała profesorskiego na PUNO.

Posiedzenie to znowu poprzedzone było zebraniem w zamkniętym gronie zaproszonych gości ze świata naukowego i społecznego, urządzonym w tej samej sali przez Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie. Sposobność do niego dało ukazanie się w druku „Bibliografii prac uczonych i badaczy polskich, ogłoszonych poza Polską, w językach obcych" zebranej i opracowanej przez Marię Danilewiczową i Janinę Nowakową (z Biblioteki Polskiej w Londynie). (London, 1964, str. XVIII + 174 i 2 nl. w języku angielskim). Druk Oficyny Poetów i Malarzy pod kier. C. i K. Bednarczyków.

Do licznych gości przemówił prezes prof. B. Hełczyński, wyjaśniając, że Polskie Towarzystwo Naukowe patronowało temu wydawnictwu i że pracą nad nim nie była łatwa, gdyż wydawnictwo to nie jest bynajmniej kompletne. Nie zawiera prac uczonych polskich w języku polskim, wydanych poza krajem zarówno jak i wszystkich prac, w językach obcych, o których wiadomo, że zostały wydane poza Polską przez polskich uczonych. Prof. Hełczyński zatrzymał się dłużej nad różnymi przyczynami tej niekompletności, wspominając m.in. brak odpowiedzi niektórych uczonych na ankiety, względnie podkreślając warunki, w jakich odbywało się wydanie bibliografii, z czego należy się domyślać, iż nie zdołano uzyskać na to wystarczających środków pieniężnych. Niemniej zamiast pierwotnie przewidywanych 1.500 pozycji, uzyskano 4.011 i wiele pozostało w kartotekach (nawiasem można wspomnieć, że w dziale filozofii i nauk filozoficznych uwzględnić można było tylko połowę znanych pozycji). Nie mniej prof. Hełczyński doszedł do wniosku, że wydawnictwa nie można uważać za chybione i w imieniu Towarzystwa złożył gorące podziękowanie wszystkim, którzy się do niego przyczynili, przede wszsytkim autorkom opracowania oraz kierownictwu Oficyny drukarskiej. Przemówienie swe mówca zakończył apelem do wszystkich, a przy tym i do prasy, aby powiadomiła społeczeństwo emigracyjne o ukazaniu się tej pracy. Bardzo pożądanym jest też powiadomienie naukowego świata obcego, jak wygląda wkład nauki polskiej do nauki świata. Tym chętniej czynimy zadość tej prośbie, gdyż tak jak praca ta została ujęta, widać w niej wiele staranności i wysiłku zarówno ze strony autorek, jak i oficyny drukarskiej. P. Jadwiga Nowakowa nie mogła wziąć udziału w tym zebraniu, gdyż sprawy rodzinne (ślub syna) zmusiły ją do wyjazdu do Penangu w Malazji.

Skoro już mowa o wydawnictwach i starając się zrobić czysty stół — wspomnieć należy o ukazaniu się 2-go numeru kwartalnika „Pogończyk". Zawiera on m.in. dłuższy artykuł dr M. Falka pt. „Geograficzne przesłanki przełomu dziejowego". Wychodząc z przesłanek geografa brytyjskiego Mackindera (1861—1947) idących w kierunku podkreślenia znaczenia Międzymorza bałtycko-czarnomorskiego, a w jego ramach Polski, dr Falk wskazuje na groźne konsekwencje zachwiania równowagi między Wschodem i Zachodem, przez rezygnację ze stron Zachodu z niepodległej i silnej Polski.

Wreszcie wypada podkreślić jeszcze raz energię z jaką realizowane jest wydawnictwo polskiego przekładu „Sumy Teologicznej" św. Tomasza z Akwinu pod kierownictwem ks. dr Stanisława Bełcha. W ciągu ubiegłego roku ukazały się dwa następne tomy: Nr 9. pt. „Cel ostateczny czyli Szczęście oraz Uczynki ludzkie" (I-II, 1-21) w przekładzie i z objaśnieniami o. Feliksa Wojciecha Bednarskiego, O.P. (Londyn, Veritas, 1963, str. 436 + 4 nl.) oraz Nr. 17 pt. „Roztropność" (II-II, 47-56) w przekładzie z objaśnieniami ks. dr S. Bełcha (Londyn, Veritas, 1964, str. 204 + 4 nl.). Te dwa tomy doskonale uzupełniające się, stanowią właściwie podstawę tomistycznej nauki o działaniu ludzkim, najbliżej związane z praktycznym życiem człowieka, a zatem z jego etyką. Stanowią one największy wkład w historii do rozważań filozoficznych nad tym, co się dziś nazywa prakseologią. (n)

Od Redakcji: Zamykając tę ostatnią kronikę tygodniową autor jej, *Jan Ostrowski* pragnie tą drogą podziękować wszystkim, którzy dopomagali mu w spełnianiu czasem uciążliwych obowiązków sprawozdawczych i przeprosić za wszelkie mimowolne uchybienia. Nie znaczy to, aby nie żywił on nadziei, że rubryka ta w zmienionej postaci będzie wznowiona w miesięcznym wydaniu pisma.

W PODZIEMIACH DOMINIKANÓW W WILNIE

Na zlecenie litewskiego ministerstwa kultury przeprowadzono badania kościoła O.O. Dominikanów w Wilnie. Ogółem zbadano kilkaset zwłok, jużto w trumnach jużto poza nimi.

Komisja ekspertów doszła do wniosku że grzebanie zwłok w podziemiach tego kościoła zaczęto już w 17-tym wieku. W trumnach leżeli zakonnicy, księża, oprócz nich także trochę szlachty i mieszczan. Ale do podziemi nieraz wdzierali się grabieżcy. W 1812, żołnierze gwardii Napoleona, cofający się spod Moskwy podobno rozbijali trumny i używali je na opał. Tym się tłumaczy, że w niektórych trumnach, które też otwierano, ale nie zniszczono, znaleziono po kilka czaszek ludzkich. W roku 1863 policja carska szukała w podziemiach powstańców rzekomo ukrywających się wśród trumien. Trumny były z reguły drewniane.

(LWIL)

DWIE ROCZNICE ARMII KRAJOWEJ

W tym roku mija 20 lat od wybuchu Powstania Warszawskiego i 25 lat od rozpoczęcia konspiracji. Po klęsce wrześniowej, po chwilowym oszołomieniu naród polski podjął dalszą walkę z okupantem z podziemia.

Już w październiku 1939 roku powstały podwaliny konspiracji, przez założenie organizacji Służba Zwycięstwu Polski (S.Z.P.), która przez Związek Walki Czynnej (Z.W.Z.), przekształciła się w wielką organizację zbrojną, pod nazwą Armii Krajowej (A.K.). Powstało Państwo Podziemne, zjawisko bez precedensu w historii, jeśli chodzi o rozmiar.

Olbrzymi ten wysiłek narodu polskiego został fizycznie zdławiony przez nowego okupanta, tym razem przez Związek Sowiecki. Podkreślamy, został zgnieciony tylko fizycznie, gdyż żołnierze Armii Krajowej tak w Polsce, jak i na obczyźnie pozostali wierni swym ideałom walki o Polskę całą, wolną i niepodległą.

Dziś nie ma warunków, ażeby koledzy nasi w Kraju organizowali obchody rocznicowe. Muszą biernie przyglądać się galówkom reżymowym, które sławią partyzantkę i konspirację komunistyczną, która stanowiła przysłowiową kroplę w morzu działalności i walk Armii Krajowej. Na nas więc akowcach, pozostających w wolnym świecie spoczywa obowiązek zamanifestowania prawdy o Polsce Podziemnej.

Zarząd Główny Koła B. Żołnierzy Armii Krajowej wezwał wszystkie ośrodki organizacyjne rozsiane po całym świecie do urządzania uroczystości rocznicowych, które powinny być poświęcone nie tylko Powstaniu Warszawskiemu, ale również uroczystości te powinny wydobyć na światło dzienne olbrzymi wysiłek i osiągnięcia przeszło pięcioletniej walki podziemnej.

Apel Zarządu spotkał się z dużym zrozumieniem. Akowcy nadsyłają zawiadomienia i programy przygotowywanych obchodów. Jest duża rozpiętość jeśli chodzi o zakres programów. Zależy to zwykle od wielkości skupisk akowskich i od miejscowych warunków. Przeważnie uroczystości przygotowane są na dzień 1 i 2 sierpnia br. Wszędzie odbędą się Msze żałobne za poległych żołnierzy Armii Podziemnej. Ponadto zależnie od możliwości przygotowywane są zloty, bądź też zebrania koleżeńskie, akademie, uchwalanie rezolucji ideowych, pogadanki radiowe, artykuły do prasy polskiej i do prasy krajów osiedlenia, składanie wieńców przy pomnikach bohaterów walki o wolność, odsłonięcia tablic pamiątkowych itp.

Wszystkie ośrodki kładą duży nacisk, ażeby w tych uroczystościach rocznicowych wzięły udział osobistości świata wolnego, ażeby poprzez prasę, radio, manifestacje przypomnieć społeczeństwom zachodnim sprawę polską, a w szczególności uświadomić im nieugiętą walkę narodu polskiego o odzyskanie pełnej wolności i niepodległości.

Uroczystości akowskie przygotowywane są w Anglii — Bradford, Leicester, Manchester, Sheffield; w Stanach Zjednoczonych: Chicago, Detroit, Nowy Jork, Waszyngton, Kalifornia; w Kanadzie: Montreal, Toronto; w Autralii: Adelaide, Melbourne, Sydney; ponadto we Francji, w Niemczech Zachodnich, w Meksyku, w Brazylii, w Argentynie i prawdopodobnie w wielu innych miejscowościach, gdyż Zarząd Główny stale otrzymuje nowe zawiadomienia o przygotowaniach. Notujemy przyjemny objaw, że na apel Zarządu Głównego, zgłaszają gotowość zorganizowania uroczystości niekiedy małe skupienia akowców, a niejednokrotnie pojedyńcze nawet osoby podejmują chwalebną inicjatywę.

Oprócz powyżej wymienionych miejscowości, gdzie odbędą się lokalne obchody, przygotowywane są dwa zloty akowskie, jeden w Waszyngtonie w dniu 1 i 2 sierpnia br. kolegów ze Stanów Zjednoczonych i z Kanady, a drugi w dniu 12 i 13 września br. w Anglii w Fawley Court. Przygotowaniem tych zlotów zajęły się specjalne w tym celu powołane komitety.

Za Zarząd Główny:
F. Miszczak, prezes.

BILETY,
SPROWADZANIE RODZIN
Z POLSKI
ANGLOPOL TRAVEL
Tel. FRE 1155
121, Earls Court Rd., London, S.W.5

A. BRONARSKI

Jak się fabrykuje historię w Polsce Ludowej

Obchód 600-lecia Akademii krakowskiej odbył się w Krakowie jak wiadomo uroczyście, choć nie wszyscy pochwalali jego program i organizację. Katolików uraziło zupełne pominięcie władz kościelnych, co wywołało nawet energiczy protest ks. Kardynała Wyszyńskiego. Nie dość na tym, pojawiły się publikacje krzywdzące Kościół i udział jego w dziele kazimierzowskm. Jedną z nich jest oficjalna broszura, ładnie ilustrowana, wydana staraniem władz uniwersyteckich, w języku polskim i francuskim, pod nazwiskiem, zmarłego wkrótce po Obchodzie, Rektora Uniwersytetu krakowskiego, profesora Kazimierza Lepszego*). Autor, historyk z powołania, przedstawił dzieje Uniwersytetu kazimierzowskiego w sposób nie tylko tendencyjny, ale rzec można nienaukowy. Czytamy i wierzyć wprost nie chcemy drukowanemu słowu: „Plany polskie napotkały na opór kurii rzymskiej i dla tego Kazimierz Wielki powziął śmiałą myśl i nie czekając na ostateczną zgodę papieża Urbana V, sam wydał akt fundacyjny pierwszego uniwersytetu polskiego. Był to akt suwerenny i suwerenność Polski jak najsilniej afirmujący". (str. 10-11). Jak wiadomo większość uniwersytetów założonych w średnich wiekach otrzymywały sankcję papieską i były od Kościoła zależne. Że o taką sankcję ubiegał się Kazimierz, nie można mieć wątpliwości. Stwierdzone to zostało przez uczonych tej miary co prof. Kazimierz Morawski, autor dwutomowej Historii Uniwersytetu krakowskiego, ks. Jan Fijałek, Władysław Abraham, obaj profesorowie Uniwersytetu lwowskiego. O ile chodzi zaś o osobę papieża Urbana V., uczonego Benedyktyna, to wiadomo, że papież ten nie tylko nie stawał na przeszkodzie, ale popierał otwarcie powstawanie nowych Uniwersytetów. Nic nie wskazuje na to, aby Kazimierz Wielki miał napotkać na jakieś trudności ze strony tego papieża

A zresztą jest świadectwo dokumentów, których istnienie broszura z dziwną beztroską przemilcza. Istnieje w Archiwach watykańskich list, odkryty przez prof. Wł. Abrahama, papieża Urbana V. do arcybiskupa gnieźnieńskiego w sprawie założenia Akademii krakowskiej, datowany z 15 października 1362 r. W latach 1896-7 ten uczony odkrył w tychże archiwach w plice aktów, tzw. Rotulus Regis Poloniae, dokument, w którym znajdujemy prośbę wniesioną przez Kazimierza do papieża o założenie Uniwersytetu. Było to wkrótce po wyborze Urbana V., kiedy król polski wysłał ambasadę w celu złożenia życzeń nowemu Ojcu św. w Avinionie, gdzie papieże wówczas rezydowali. Dokument opatrzony jest aprobatą papieską „Fiat" i datą 6 kwietnia 1363 r. Dał więc Urban V zgodę na założenie Uniwersytetu. Nadszedł rok 1364, w którym nastąpiła inauguracja Uniwersytetu kazimierzowskiego. Znany jest dokument tzw. Akt erekcyjny króla z 12 maja 1364, wydany w dzień Zielonych Świąt. Tego dnia ogłoszona została również deklaracja Rady miejskiej w Krakowie zobowiązującej się przestrzegać rozporządzeń królewskich. W akcie tym jest powiedziane, że Uniwersytet powstał „ex benigna largitione ss. in Christo patris.... Urbani Papae V." (1). Ale o tych świadectwach głucho jest w broszurze w.w. Dlaczego? Chodziło o wyeliminowanie z historii powstania Akademii kazimierzoskiej wpływów i udziału Kościoła w tym wiekopomnym dziele wielkiego króla, o przypisanie papieżowi opozycyjnego stanowiska, aby przedstawić założenie Uniwersytetu krakowskiego jako akt czysto świecki, tak dobrze odpowiadający dzisiejszemu kierunkowi laicyzacji i materialistycznemu programowi reżimowego ustroju.

Zgodzić się możemy z profesorem H. Baryczem**), że początkowo Kazimierz Wielki napotkał prawdopodobnie na trudności ze strony papiestwa i cesarze, że realizacja inicjatywy trwała długo, co najmniej od 1351 r., że Uniwersytet Kazimierzowski przedstawiał samoistny i niezależny typ szkoły wyższej świeckiej związanej ściśle z potrzebami państwa i władzy monarszej, ale z tego nie wynika, że „plany polskie napotkały na opór kurii rzymskiej i dlatego Kazimierz Wielki powziął śmiałą myśl i nie czekając na ostateczną zgodę papieża Urbana V., sam wydał akt fundacyjny...". Wspomniane dokumenty mówią co innego.

Na poparcie swych błędnych twierdzeń powołuje się wspomniana broszura na inny jeszcze argument: „Natomiast, czytamy na str. 12. nie kreowano wydziału teologicznego. Już to samo nadawało Uniwersytetowi charakter świecki...". Takie sformułowanie zdania narzuca czytelnikowi przypuszczenie, że wyłączenie fakultetu teologicznego nastąpiło na życzenie króla. Tymczasem było wprost przeciwnie, bo nastąpiło to na skutek zarządzenia papieskiego w Bulli z 1-go września 1364 r., nie zaś Kazimierza, który zapewne sobie tego wcale nie życzył. Wynikło to z ówczesnej polityki papieskiej przeciwnej stwarzaniu tego fakultetu w nowozakładanych uniwersytetach, ze względu na Sorbonę paryską (a może i uniwersytet pragski, za którym stał cesarz), gdzie kwitły te studia, otaczane szczególną opieką przez papieży, którzy nie chcieli w tej dziedzinie wytwarzać niepożądenej konkurencji. Na ogólną liczbę 40 uniwersytetów założonych w okresie średniowiecza do powstania Uniwersytetu krakowskiego — 28 pozbawionych zostało tego wydziału, jak również m odszy o jeden rok od krakowskiego Uniwersytet wiedeński. Dopiero w odnowionej przez Jagiełłę, w r. 1400 Akademii, otrzymał Uniwersytet krakowski wydział teologiczny, nadany mu przez Papieża Bonifacego IX., kiedy wskutek wypadków zaszłych w Sorbonie powstała nowa korzystna pod tym względem sytuacja.[1]).

A w końcu jedna jeszcze uwaga: „Najwyższym zwierzchnikiem Uniwersytetu, czytamy w w.w. broszurze str. 12, został kanclerz królestwa a nie biskup, jak było gdzie indziej, i on był uprawnony do nadawania stopni naukowych". Na czym opiera się to twierdzenie? Niewiadomo. Historia nie przechowała nam świadectwa, kto był pierwszym kanclerzem Akademii krakowskiej. Zachowało się jednak pismo papieża Urbana V. do Kazimierza, w którym Ojciec św. kategorycznie żąda, aby biskup krakowski przewodniczył egzaminom i nadawał stopnie akademickie (Denifle 1. c. str. 617, Morawski 1. c.). Czy oparł się temu żądaniu Kazimierz? Więcej to niż nieprawdopodobne. Był zanadto dobrym politykiem i lubiącym pokój monarchą; nad wykonaniem żądania papieskiego czuwało zresztą duchowieństwo, przede wszystkim sam biskup krakowski. Ale broszura milczy o tej bulli papieskiej z 1-go września i o liście z 13 września 1364 r.

Wobec takiego nastawienia autora broszury pominięte zostały inne — oprócz państwowego — cele i aspekty fundacji kazimierzowskiej. Opierając się na zachowanych świadectwach historycy polscy[5]) podkreślali niejednokrotnie, że już kazimierzowski Uniwersytet z r. 1364 powstał w celach rozszerzenia i utwierdzenia katolickiej wiary na Litwie i Rusi. Przyświecały wiec fundatorowi Almae matris Cracoviensis nie tylko cele praktyczne ale i bardziej idealne, zgodnie z duchem jego epoki. W broszurze nie znajdziemy żadnej wzmianki o tym. Mowa jest tylko że Uniwersytet „w zamierzeniach Kazimierza Wielkiego i jego doradców miał pomóc scadać cywilizacyjnie i politycznie całe państwo..., sięgać swym wpływem... na pozostające pod obcym zaborem dwie ziemie polskie: Śląsk i Pomorze" (str. 10). Jedno nie przeczy drugiemu. Nie mniej w przemilczeniu pierwszego aspektu przy równoczesnym podkreśleniu drugiego, przejawia się polityczna tendencja. Podobno przygotowuje się jakaś książka o dziejach Uniwersytetu. Zobaczymy co w niej będzie.

---

[1]) Kazimierz Lepszy: Uniwersytet Jagielloński wczoraj, dziś i jutro. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1964, Stron 60.

Idem: Université Jagellonne d'hier, d aujourd'hui et de demain. Imprimerie de l'Université Jagellonnne. Cracovie 1964. Pages 64.

[2]) H. Denifle O.P. Die Entstehung der Universitäten des Mittelalters bis 1400. Berlin, 1885. Str. 626. — K. Morawski: Historia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Średnie wieki i Odrodzenie. Tom I. Wstęp.

[3]) Henryk Barycz. Z zagadek Uniwersytetu Kazimierzowskiego w Krakowie. Poznań 1952.

[4]) Ks. Jan Fijałek: O początkach i znaczeniu Uniwersytetu krakowskiego w XIV-XV wieku. Księga pamiątkowa Uniwersytetu lwowskiego ku uczczenu pięćsetletniej rocznicy fundacji Jagiellońskiej Uniwersytetu krakowskiego. Lwów, 1900.

[5]) H. Barycz: Rozmój i upadek Akademii Krakowskiej. (Kultura staropolska.) Kraków 1932. P.A.U. Str. 267.

STYPENDIA FUNDACJI PADEREWSKIEGO NA ROK AKADEMICKI 1964/65

Podobnie jak w latach ubiegłych, Zarząd Fundacji Paderewskiego w Nowym Jorku przyznał znów u progu nowego roku akademickiego 1964/65 stypendia na studia, bądź prowadzenie wykładów starannie wybranym kandydatom. Jak podaje do wiadomości założyciel i prezes Fundacji Paderewskiego Edward S. Witkowski, stypendia otrzymali:

Krzysztof Byrski, na dokończenie studiów doktorskich w zakresie sztuki i architektury Indii na Banaras Hindu University w Varanasi, w Indiach;

Piotr Chełkowski, na studia doktorskie w zakresie cymilizacji perskiej, na University of Teheran, w Persji;

Jan Czartoryski' na studia doktorskie w zakresie prawa międzynarodowego na London School of Economics and Political Science w Anglii;

Dr. Stanisław Fischlowitz, profesor Katolickiego Uniwersytetu w Rio de Janeiro, w Brazyli, na wykłady o cywilizacji słowiańskiej i sowietologii;

Władysław Godzich na studia językoznawcze w St.Francis College' w Brooklynie, N. Y.

Dr. Bronisław Jasinowski, profesor Uniwersytetu Państwowego w Santiago de Chile, na wykłady filozofii i kultury świata słowiańskiego;

Stefan Mioducki, na wstępne studia akademickie w C. W. Post College of Long Island University w Brookville' L. I., N. Y.;

Dr. Stanisław Piekut, lektor języka polskiego na Uniwersyteckim Instytucie Orientalnym w Neapolu' we Włoszech na wydanie antologii prozy polskiej po włosku;

Ks. Stanisław Piórkowski, na studia w zakres,e teologii pastoralnej na Wydziale Teologii Uniwersytetu Wiedeńskiego w Austrii;

Marian E. Rojek, profesor Szkoły Nauk Humanistycznych Ahimsa Shodh-Peeth w New Delhi, w Indiach, na wykłady historii i zagadnień międzynarodowych;

Włodzimierz Z. Rutkowski, na studia filozofii chrześcijańskiej na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie;

Olgierd Maria Starża-Majewski, na studia w zakresie historii sztuki na University of Oxford, w Anglii;

Anna Strawińska' profesor Katolickiego i Państwowego Uniwersytetu w Santiago de Chile, na wykłady języków i literatury polskiej i francuskiej oraz historii świata słowiańskiego;

Jan Jakub Szczepański, na uzupełniające studia gry na skrzypcach w Królewskim Konserwatorium Muzycznym w Brukseli, w Belgii;

Gerard R. Szkudlarski, doktorant i docent na Uniwersytecie San Marcos w Limie, w Peru, na studia doktorskie z dziedziny literatur romańskich i na wykłady sztuki dramatycznej;

Julian Vasarhelyi, profesor w Akademii Sztuk Pięknych w Cuzco, w Peru, na wykłady o sztuce malarskiej;

Maria Załęska, na uzupełniające studia specjalizujące nad muzyką francuską, na Sorbonie;

BILETY
KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE
Formalności związane ze sprowadzaniem rodzin z Kraju oraz wyjazdy do Polski. Szybko. sprawnie. tanio
załatwia
TAZAB TRAVEL LTD
273, Old Brompton Road, LONDON, S.W. 5 Tel. FRE 1186
MANCHESTER 16 47. Gt. Western St. Tel. Moss Side 4683
BIRMINGHAM 2 39 Corporation St. :: MID 1526

KONKURS LITERACKI ROZGŁOŚNI POLSKIEJ R.W.E.

Zespół pracowników Rozgłośni Polskiej RWE ma do zakomunikowania przyszłym uczestnikom konkursu literackiego im. Czesława Straszewicza — dobrą nowinę: oto na ręce Jury wpłynęła dodatkowo kwota 100 dolarów, co zwiększa ogólną sumę nagród do 300 dolarów. Suma ta stanowi dar Wdowy po pisarzu, p. Ewy Straszewiczowej, której organizatorzy konkursu składają na tym miejscu gorące podziękowanie. Korzystamy z tej okazji aby przypomnieć warunki konkursu.

WARUNKI KONKURSU

1. Konkurs jest otwarty dla wszystkich z wyłączeniem stałych pracowników Radia WE.

2. Opowiadanie — o tematyce ujawniającej problemy naszego czasu — nie może być przedtem w jakiejkolwiek formie opublikowane. Nieprzekraczalna długość opowiadania: 2.000 słów (10 stronic maszynopisu, po 30 wierszy na stronicy, przy szerokości wiersza ok. 65 puntów) — Prace muszą być przepisane na maszynie „na podwójny ząbek' (nie na bibułkach!); teksty pisane odręcznie nie będą przez Jury rozpatrywane.

3. Przewidziane są zasadniczo dwie nagrody: I — w wys. 200 dol. — oraz II — w wys. 100 dol. Jury zastrzega sobie prawo ew. podziału sumy 300 dol. — na więcej nagród. Niezależnie od przyznania nagród i ew. wyróżnień, Jury wybierze kilka opowiadań do realizacji radiowej. Za najlepsze prace nadane w programie radiowym Dyrekcja Rozgłośni Polskiej przyzna trzy premie — jedną w wys. 100 dol. — i dwie po 50 dol.; audycje będą prócz tego honorowane według przyjętych stawek. Opowiadania nagrodzone i te, które uzyskały premię Rozgłośni Polskiej WE, wydrukowane będą w miesięcznym dodatku „Wiadomości" — „Na antenie"; druk nie będzie honorowany. W szczęśliwym wypadku zdobywca I nagrody może także uzyskać premię Rozgłośni Polskiej w wysokości 100 dol. — razem więc 300 dol. — (nie licząc honorarium radiowego).

4. W stosunku do prac wybranych do realizacji Rozgłośnia Polska zastrzega sobie prawo poczynienia ew. skrótów — celem dostosowania tekstu do przyjętych ram czasowych, czy też drobnych zmian redakcyjnych spowodowanych wymaganiami radiofonizacji. Rękopisy prac nie wykorzystanych ani w radio ani w druku nie będą autorom zwracane.

5. Tekst opowiadania musi być opatrzony godłem, które należy powtórzyć na zaklejonej kopercie zawierającej imię i nazwisko oraz adres autora. Prace nadsyłać należy do dnia 1 września 1964 r. (data stempla pocztowego) pod adresem: Radio Free Europe — Polish Desk, 8000 München 22, Englischer Garten 1, Germany; koperta musi być oznaczona napisem KONKURS LITERACKI. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w ciągu listopada.

Skład Jury: Tadeusz Nowakowski, Bronisław Przyłuski, Kazimierz Sowiński, Aleksandra Stypułkowska i Tymon Terlecki.

Wszystkie pisma polskie proszone są o przedrukowanie nin. komunikatu.

POLSKI TEATRZYK WE LWOWIE

W Domu Nauczyciela we Lwowie ma siedzibę zespół działający pod nazwą: Polski Teatr Ludowy. Pokonawszy w ciągu pierwszych trzech lat isnienia ogromne trudności maerialne (np. zupełny brak dekoracji i kostiumów) skromny teatrzyk stopniowo zwiększa swój zasięg. Daje przedstawienia w polskich szkołach miasta, a czasem wyjeżdża do pobliskich miast. gdzie jeszcze jest trochę Polaków.

Reżyserem jest Zbigniew Krzynowski. Pod jego kierownictwem Polski Teatr Ludiwy przygoowuje wystawienie kilku sztuk klasycznych, m. in. „Balladyny" Słowackiego i „Hamleta" Szekspira. Ale główną część repertuaru stanowią sztuki autorów naszego stulecia, jak Szaniawskiego, Jesionowskiego, Salaburskiej, Simonowa.

W drugiej połowie maja dzielny zespół wyjechał na występy do Wilna. Wystawiono komedię Józefa Korzeniowskiego „Panna-mężatka". Przedstawienie odbyło się w gmachu t.zw. Pałacu Związków Zawodowych. Polacy wileńscy nagrodzili artystów rzęsistymi oklaskami.

We Lwowie sztukę tę wystawił Polski Teatr Ludowy już w roku ubiegłym, w setną rocznicę zgonu wybitnego dramaturga i powieściopisarza.

(LWIL)

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmożoną wydajnością w oracy!
Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych
KALEFLUID
Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia. depresji nerwowej, zmęczenia. wyczerpania. zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania
Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Nowy podwójny numer 'Poland and Germany'

Ukazał się właśnie nowy podwójny numer (27-28) kwartalnika „Poland and Germany" wydawanego przez Ośrodek Badań Spraw Polsko-Niemieckich w Londynie. Jest to okazały numer zarówno pod względem treści jak i obfitości materiałów. Liczy on 80 stron.

W dziale artykułowym przynosi on bardzo wnikliwe uwagi Zygmunta Berezowskiego na temat polityki zagranicznej Niemiec Zachodnich po odejściu kanclerza Adenauera. Omawia on specjalnie rozwój stosunków francusko-niemieckich, amerykańsko-niemieckich oraz rolę Niemiec w Europie powojennej. Autor artykułu widzi wielkie niebezpieczeństwo jakie może powstać na skutek sprzecznej ze sobą polityki Francji i USA. Może to doprowadzić do odrodzenia się dawnej polityki Niemiec, której etapy znaczą: Rapallo, Locarno, Monachium itp.

Następnie E. Hinterhoff daje sprawozdanie z nowego spotkania angloniemieckiego przy udziale wybitnych osobistości z obu krajów. Spotkanie to odbyło się poraz pierwszy w Anglii, w Oksfordzie, a nie jak poprzednie w Bad Godesburgu. Są to tak zwane konferencje Konigswinter. Mają one duże znaczenie dla wymiany myśli na różne aktualne problemy polityczne interesujące oba państwa. Na spotkaniu w Oksfordzie poruszone były problemy dotyczące Europy Wwchodniej, a także wschodnich granic Niemiec. Warto, ażeby z tym zapoznała się opinia polska, bo chociaż wypowiedzi uczestników spotkania nie mają charakteru oficjalnego, to jednak mają duże znaczenie dla urobienia ogólnego klimatu politycznego.

W końcu wspomnieć należy o ciekawym przyczynku historycznym jaki stanowi artykuł A. Truscoe na temat polskiej reformy konstytucyjnej z roku 1791 i artykuł S. Lubomirskiego o zasadzie samostanowienia oraz o próbach prowadzonych na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych celem przekształcenia tej zasady w obowiązujące prawo. Sprawa ta, oczywiście, łączy się ściśle z zagadnieniami polskimi.

Poza tym najnowszy numer „Poland and Germany" przynosi bogaty dział dokumentów m.in. pełny tekst memorandum Polonii Amerykańskiej na temat problemów Polski i Europy Środkowo-Wschodniej, przedstawionego osobiście prezydentowi Johnsonowi — oraz głosów prasy angielskiej, amerykańskiej, kanadyjskiej i innej na tematy związane z problemami polskimi i niemieckimi. Stanowi to bardzo wartościową pozycję w tym kwartalniku.

Numer zamykają recenzje z kilku książek, w tym z niedawno wydanej pracy profesora kanadyjskiego Richarda Hiscocksa o Polsce powojennej. Z prac ogłoszonych w Polsce omówione zostały aktualne publikacje na temat polskiej polityki zagranicznej z lat przedwojennych, na temat dywersji niemieckiej w Bydgoszczy i inne.

Już z tego krótkiego omówienia treści ostatniego numeru „Poland and Germany" widzimy, że stanowi on bardzo interesującą pozycję wśród wydawnictw zachodnich na emigracji. Należy wyrazić nadzieję, że znajdzie się on w rękach wielu czytelników polskich i obcych, którzy zajmują się politycznymi zagadnieniami Europy Wschodniej, a w szczególności sprawami polsko-niemieckimi.

WSZELKIE PRACE DRUKARSKIE
wykonuje
GRYF PRINTERS
171 Battersea Church Rd. S. W. 11
Telefon: BATtersea 0879

B.D.I.C

EUGENIUSZ HINTERHOFF

AUDIENCJA OSOBISTA U PAWŁA VI

Wielu Polaków, z emigracji i z Kraju, odwiedza Rzym. Nie zaniedbują tej okazji aby zajść do Bazyliki św. Piotra, do której przylega Watykan.

Niejeden też mógł być świadkiem uroczystości, kiedy Papież udzielał swego błogosławieństwa bądź z tronu w bazylice św. Piotra bądź z balkonu Watykanu, wychodzącego na wielki plac przed bazyliką. Przy tego rodzaju okazjach gromadzą się zazwyczaj tysiączne tłumy.

Zobaczyć Papieża zbliska i zamienić z nim parę zdań można na tzw. audjencjach prywatnych. Odbywają się zazwyczaj raz na tydzień, dla niewielkiej grupy osób. O uzyskanie audjencji zabiegać trzeba przez kilka tygodni, zazwyczaj w drodze dyplomatycznej przez ambasadę akredytowaną przy Stolicy Apostolskiej. Istnieje wreszcie jeszcze inny rodzaj audjencji, t.zw. „protokolarna", które udzielane są przez Papieża w sali tronowej rodzinom królewskim oraz szefom rządów.

Po przybyciu do Rzymu, zatelefonowałem do amb. K.Papee. Łączyły mnie z nim miłe stosunki z dawnych lat, co nie jest rzeczą trudną ze względu na niezmiernie ujmujący sposób bycia p. Papèe.

Zaprosił mnie na śniadanie w swym klubie „Circolo di Caccia" „Klub Myśliwski" mieszczącym się w pięknym, starożytnym pałacu ks. Borghese.

Gdy żona moja powiedziała, że marzeniem jej jest uzyskać audjencję u Papieża, zapytując p. Papèe, czy mógłby ją wyrobić, ambasador się roześmiał mówiąc, że starać się o to trzeba conajmniej parę tygodni.

Okazało się jednak, że wpływy ambasadora Papee w Watykanie, gdzie był on przez wiele wiele lat dziekanem korpusu dyplomatycznego, były tak silne, że w parę dni później, otrzymaliśmy przez umyślnego gońca kopertę, z żółtą pieczęcią Watykanu, zawierającą zaproszenie na audiencję następnego dnia, a mianowicie 6 czerwca.

Pojechaliśmy autem, jakie dane było do mojej dyspozycji przez Sztab włoski, pod t.zw. „Porta de Bronzo", znajdujące się w pięknej kolumnadzie, ciągnącej się półkolem, poczynając od bazyliki św. Piotra.

Idąc piękną, marmurową klatką schodową „Scala Reale", wzdłuż którego stali rozstawieni gwardziści papiescy „Guardia Swizzera", w swoich malowniczych strojach w pasy, doszliśmy do windy, która dowiozła nas na II piętro, gdzie wyszliśmy na podwórze na którym znajduje się Sekretariat Stanu oraz wejście do prywatnych apartamentów Papieża.

Przy wejściu do tych apartamentów, urzędnicy Sekretariatu, ubrani w średniowieczne mundury z czerwonego szkarłatu, w krótkich spodniach z pończochami również koloru szkarłatnego, sprawdzali zaproszenia, prowadząc nas potem przez długie korytarze do sali tronowej, w której znajdowało się już kilka osób, czekających na audiencję.

Po ponownym sprawdzeniu zaproszeń, zostaliśmy zaprowadzeni do następnej sali, na ścianach której wisiały przepiękne gobeliny: przy wejściu stał szambelan papieski „Camerriere di spada e coppa", ubrany w czarny średnowieczny ubiór, ze szpadą przy boku. Koło niego stał oficer gwardii papieskiej, t.z. „Guardia Nobile" składającej się wyłącznie z włoskich rodzin patrycjuszowskich, w czarnym dwurzędowym mundurze, przepasany złocistym pasem, trzymając hełm w ręku. W sali tej znajdowało się juz kilka osób, a mianowicie: ambasador Mauretanii, jakaś dystyngowana starsza pani, w towarzystwie jej syna, oraz wyjątkowo pięknej młodej osoby, zapewne jej synowej. Ponadto w sali tej znajdowały się dwie młode angielki, ubrane zapewne w pożyczone sukienki czarne, które groziły pęknięciem przy każdym energiczniejszym poruszeniu.

Przy wejściu do następnej sali, w której odbywały się audjencje, stało kilku oficerów innej gwardii papieskiej tz. „Guardia Palatina", rekrutującej się z mieszczan Rzymu, ubranych w dwurzędowe mundury koloru czarnego i spodnie koloru błękitnego z czarnym podwójnym lampasem, trzymając hełmy podobne do noszonych przez „Guardia Nobile".

Po dłuższym czekaniu wprowadzono nas wreszcie do sali audjencyjnej i rozstawiono małymi grupkami wzdłuż ścian. Oficerowie gwardii wyprężyli się na baczność i do sali wszedł Ojciec Święty, w towarzystwie swego sekretarza, trzymającego w ręku listę osób, uzyskujących audiencję. Tak się złożyło, że ustawiono mnie razem z żoną przy ścianie w taki sposób, że na nas kończyła się kolejka audiencji.

Papież podszedł, obchodząc rozstawione grupki, do profesora włoskiego, stojącego z żoną: oboje uklękli, całując pierścień papieski. Rozmowa nie trwała długo. Papież przesunął się w kierunku starszej pani wraz z jej rodziną: musiał on znać ją uprzednio, gdyż przywitał ją z nadzwyczajną uprzejmością: mogłem przy tej sposobności przyjrzeć się jego twarzy; uderzył mnie jej ascestyczny wyraz i dziwnie skupiony przenikliwy wzrok. Papież wydał mi się o wiele drobniejszy aniżeli to sobie wyobrażałem na podstawie fotografji lub telewizji.

Z kolei Papież podszedł do ambasadora Mauretanii i jego rodziny, którzy wszyscy uklękli, zgodnie z ceremoniałem, całując pierścień papieski wreszcie po rozmowie z ambasadorem Papież podszedł do nas, wraz ze swoim sekretarzem. Zdążyłem zauważyć przy moim nazwisku: „Giornalista Polacco", „The Tablet" Londra.

Papież spojrzał na mnie przenikliwie, lecz z dużą dobrotliwością. W ciągu różnych moich wędrówek po świecie miałem sposobność spotykania różnych wybitnych ludzi, a jednak nigdy nie wyczułem takiej siły magnetycznej, jaka zdawała się promieniować z tej drobnej ascetycznej sylwetki stojącej przedemną.

Ukląkłem szybko aby ucałować pierścień na ręce Papieża. Gdy wstałem odezwał się ku mojemu zdumieniu, czystą polszczyzną „Niech żyje Polska' byłem tam wiele razy ale, niestety zapomniałem mówić po polsku, czy woli Pan mówić po angielsku czy po francusku?"

Nieoczekiwane odezwanie się Papieża w języku polskim zrobiło na mnie takie wrażenie, że łzy zakręciły mi się w oczach. Widziałem, że zrobiło to również wrażenie na Papieżu, gdyż spojrzał na mnie z wielką dobrotliwością Nie panując nad sobą, złapałem ga za rękę — moment ten został uchwycony przez stojącego niedaleko oficjalnego fotografa — mówiąc po francusku, że są to łzy wzruszenia i wdzięczności, że Papież odezwał się w moim języku ojczystym.

Papież powiedział mi, że obchodzi go niezmiernie żywo los Polski, która przecierpiała tak wiele i cierpi nadal: „La Pologne est une nation messianique et une nation fidele..." dodając, że wszystkie jego myśli poświęcone są Polsce i Polakom. Po chwili Papież zwrócił się do mojej żony, odzywając się do niej po polsku. Wtrąciłem się do tej rozmowy, mówiąc, że żona moja jest Węgierką więc nie włada językiem polskim. Papież odezwał się do żony mojej po francusku' mówiąc' że obchodzą go również niezmiernie żywo losy „tego nieszczęsnego kraju, jakim są Węgry". i „o który modli się tak często.."

Zwracając się do nas obojgu powiedział, że daje nam, jak również i wszystkim naszym rodakom swoje osobiste błogosławieństwo: skinął on na swego sekretarza, który wręczył nam medale z podobizną Papieża.

Uklękliśmy znowu oboje i w tym momencie ze względu na to, że stało za nią krzesło, żona moja straciła równowagę i o mało nie upadła. Papież podchwycił ją obu rękami i pomógł wstać. Był to doprawdy incydent dość niezwykły w dziejach audiencji papieskich.

Zaledwie dwa dni później miałem możność przekonać się, co oznaczało w moim życiu błogosławieństwo Ojca Świętego.

W pociągu do Neapolu zdarzył się wypadek, który groził śmiercią mojej żonie. Nie używając słowa cud, jesteśmy oboje przekonani, że ocalenie życia mojej żony było wynikiem błogosławieństwa Ojca Świętego. Napisałem o tym do ambasadora Papee, prosząc go, aby o tym zawiadomił Pawła VI-go który modli się tak często.."

Zwracając się do nas obojgu powiedział, że daje nam, jak również i wszystkim naszym rodakom swoje osobiste błogosławieństwo: skinął on na swego sekretarza, który wręczył nam medale z podobizną Papieża.

Uklękliśmy znowu oboje i w tym momencie ze względu na to, że stało za nią krzesło, żona moja straciła równowagę i o mało nie upadła. Papież podchwycił ją obu rękami i pomógł wstać. Był to doprawdy incydent dość niezwykły w dziejach audiencji papieskich.

Zaledwie dwa dni później miałem możność przekonać się, co oznaczało w moim życiu błogosławieństwo Ojca Świętego.

W pociągu do Neapolu zdarzył się wypadek, który groził śmiercią mojej żonie. Nie używając słowa cud, jesteśmy oboje przekonani, że ocalenie życia mojej żony było wynikiem błogosławieństwa Ojca Świętego. Napisałem o tym do ambasadora Papee, prosząc go, aby o tym zawiadomił Pawła VI-go

UWAGA: INWALIDZI WOJENNI WE FRANCII

Dowiadujemy się bezpośrednio od naszego adwokata z Niemiec, iż Parlament niemiecki uchwalił nową ustawę dotyczącą odszkodowania za prześladowania narodowościowe. W sprawach tych wzięte będą pod uwagę osoby (uchodźcy), które były naturalizowane, przed 1. października 1953 r. **względnie przybyły z kraju** po tej dacie. Dotychczas te sprawy były odkładane i niezałatwiane. Co prawda z jednej strony szereg formalności ustawodawczych jest jeszcze potrzebnych, aby ustawa ta weszła w życie (nastąpi to w jesieni, względnie po Nowym Roku) a z drugiej strony prawo do odszkodowania będzie mniejsze niż to, które przysługuje poszkodowanym, którzy 1. października 1953 roku faktycznie byli już uchodźcami zagranicą (nie byli naturalizowani).

Aby uniknąć straty czasu, gdyż jesień niedaleko, zwracamy się do wszystkich członków naszego Związku, którzy są zainteresowani powyższą sprawą, by nadesłali na adres Związku ich dane osobiste odnośnie prześladowania i aktualny adres, byśmy następnie mogli sporządzić odpowiednią listę i przesłać do czynników niemieckich za pośrednictwem naszego adwokata.

UNION DES MUTILES DE GUERRE POLONAIS EN FRANCE
15, rue St, Gilles, Paris 3.

CZESŁAW JEŚMAN

NAOKOŁO ŚWIATA

Bodajże największym osiągnięciem Einsteina było udowodnienie, iż linie proste schodzą się w nieskończoności, czy też stwierdzenie zaginania się światła. Może, zresztą, udowodnił to prof. Millikan (który mógł się pisać „Millican i był Amerykaninem). A jedno z drugim jest klasycznym przykładem jak należy uważać pisząc, ciesząc się naogół bardzo dobrą pamięcią ale chaotyczną i nie pisiadając nawet prymicji nauk matematycznych. Kończy się na efekciarstwie i na tym iż dobrzy ludzie będą mogli słusznie - wymyślać mi od pisunów nadętych a nieodpowiedzialnych. Tylu ich jest. A ja poprostu czytałem lat temu .. eści popularną książkę Bruno Winawera na temat najnowszych zdobyczy naukowych i akurat mnię tyle z niej zostało żeby rozpocząć feljeton ozdobnym a zaskakującym zdaniem (dowód profesjonalizmu wysokiej klasy) po czym zaplątać się w niezgrabne wyjaśnienia. Biję się w piersi: chodziło tylko o wprowadzenie do myśli przewodniej o względności wszystkiego - włącznie z uczuciami - pod erozją czasu. Tyle razy łapię samego siebie na nostalgji wojennej. Że to jednak tych 20 lat miało się mniej, że strachu było trochę ale co za przygoda, panie pułkowniku, itd.

Film „The Finest Hour" zerwał te brednie radykalnie.

* * *

Nie będę pisał o tej, doskonale zresztą zestawionej panoramie 90-ciu letniego życia Churchilla. Od 45'go roku była i Jałta, córka Teheranu. (Całkiem jak w końskiej genealogji: zła krew mnoży się pokoleniami w nieskończoność.) I Poczdam i uznanie koszmarnych figur Lubelskiego Komitetu za rząd polski i wydanie Kozaków bolszewikom w Austrii i zdrada Michajłowicza. I złowieszcza a niepotrzebna „pacyfkacja" Palestyny. Wszystkiemu prezydował, czy firmował raczej, Winston Spencer Churchill. Do tego doszło natrętne komercjalizowanie wielkiego nazwiska i wielkich zasług, ambarasująca „Historja narodów mówiących po Angielsku" za którą autor jej dostał nagrodę Nobla. O rodzinie wielkiego człowieka głośno było i nie tylko w londyńskiej prasie. Wreszcie namiętne i jadowite ataki tak utalentowanych ludzi różnego kalibru jak nieboszczyk Aneurin Bevan i Malcolm Muggeridge też robiły swoje. Zacierała się perspektywa, narastające żale zaogniały się. I teraz przyszło przypomnienie. Właśnie dzięki filmowi. Że jednak lata 1940 i 1941 i 1942 wesołe na tych oto Wyspach nie były. I od tych Wysp zależało czy wogóle przeżyjemy. Pamiętam jak prasa londyńska podniosła radosny jubel kiedy 5.000 pistoletów maszynowych skonfiskowanych bandytom w Chicago dojechało do Anglii. Było to poważne wzmocnienie potencjału obronnego Wielkiej Brytanii, Każda kompanja liczyła się i wyciągano stare halabardy do obrony przed desantami niemieckimi nie przez zamiłowanie do antyków, ale dla tego iż nie było innej broni. I gdyby nie posłano do Bretanii wyszkolonej wówcas i jako tako zaprawionej Brygady Podhalańskiej „Rubens" mógłby posiadać inny, że się tak wyrażę, międzyaliancki wydźwięk. Nawet Wyspiański twierdził iż „Myśmy wszystko zapomnieli. zapomnieli. Mego ojca piłą rżnęli". Z dużą satysfakcją desolidaryzuję się: niczego nie zapomniałem: ani opalizującej papugi ani oślich ryków ku czci „patriotycznego Gomułki" po Październiku. Ale to wszystko było jeszcze w otchłani nienarodzonego czasu w ciężkich i głodnawych latach pierwszego okresu wojny. Nie należy, nie wolno, zapominać iż w tamtych przełomowych czasach pomiędzy przeżyciem a zagładą z rąk opętanego paranoika i iluś tam milionów antyhitlerowskich Niemców, którzy o niczym, naturalnie, nie wiedzieli i tylko wykonywali rozkazy, było li-tylko kilkadziesiąt kilometrów La Manche i po tej jego stronie, katalizator - mały, pękaty człowiek wielokrotny pechowiec, entuzjastyczny i zgrany politykier i malarz-amator, wnuk księcia i awanturnik, nieuk i oficer huzarów, jeden z najlepszych pamflecistów swojego czasu słowem Churchill. Tak długo jak będzie istniała Europa i świat Zachodni tak długo będzie wiadomo o kim mowa jeżeli to nazwisko będzie wspomniane bez dalszych omówień. Może dlatego po zwycięskiej wojnie odmówił przyjęcia tytułu książęcego.

Z filmu zresztą wynika może nie usprawiedliwienie ale wyjaśnienie jak to się stało iż Zachód wojnę wygrał a pokój przegrał': niestety był to skutek aliansu z nieczajowskim nihilizmem dla celów taktycznych i duchowej zdrady na najwyższym szczeblu w zachodnim obozie. W końcowych fazach filmu raz po raz przesuwają się lisio-bandycka morda Dżugaszwillego i podwładnych mu żołdaków w wypchanych mundurach. Co gorsza przesuwają się cienie kapitulanta Beaverbrooka, Harry Hopkinsa i czeredy figur otaczających i ciągnących za sznurki urojeń i fobii Franklina Delano Roosevelta.

* * *

Nie jest przyjemnie stwierdzić, iż popełniło się w życiu zasadniczy i kapitalny błąd w ocenie. W kwietniu 1945 roku byłem w Konstantynopolu. Było dla mnie całkiem zrozumiałe iż Turcy byli podobnie przejęci jak ja wiadomością o śmierci prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zastanawialiśmy się jak też uda się ratować przyszłość teraz, kiedy nie stało tego wielkiego człowieka. Wielkiego. Przeszło dwadzieścia lat. Wolę sam nie pisać na ten temat ale przetłumaczyć urywek z recenzji doskonałego dziennikarza londyńskiego W.b. Igoe z „Catholic Herald" (10.7. 64):

„Jako mąż stanu na miarę światową Roosewelt był przygłupkiem — nincompoop — który na swój nieodpowiedzialny i megalomański sposób narobił tyleż szkód co Józef Stalin. Nie był on prokomunistą jak twierdziła to szkoła przesądów politycznych spod znaku senatora McCarthy: był czymś mniej skomplikowanym, cymbałem — a chump — który nie powinien był wysuwać nosa poza New York City, nie mówiąc już o podróżach do Waszyngtonu i Jałty. Wziął on Stalina za odpowiednika macherów z Tammany Hall którzy najpierw wpakowali go do Albany (na gubernatora Stanu nowojorskiego) a potem do Białego Domu. Błąd w ocenie Roosevelta równał się przyjęciu Dżyngis Chana za Sierotkę Marysię. Stosunki jakie panuja od dwudziestu lat w Europie Wschodniej, przerażające w konsekwencjach dla istot ludzkich w szczególności i dla cywilizacji w ogóle są bezpośrednim skutkiem paktów jakie Roosevelt zawarł ze Stalinem opierając się na tym błędzie w rozpoznaniu. Rozdęty pychą Roosevelt zrulował nieskończenie wytrawniejszego od siebie Churchilla i, nieustannie kwicząc jak aścielatka — giggling all the time like a schoolgirl — za każdym razem bezlitośnie wystawiał go do wiatru — ruthlessly placed behind the eight-ball. (Cif. „Archiwa z Białego Domu Harry Hopkinsa" oraz plugawe — revolting — wspomnienia, Roosevelta — syna i towarzysza podróży ojca)". Nic ująć, nic dodać.

* * *

Filatelistyka niewątpliwie kształci. Np. jedna z ostatnich serja znaczków pocztowych. Na znaczkach ołtarz NMPany w kolorze różowo-szaro-złotym oraz wizerunki kościoła pod Jej wezwaniem w Efezie. Zdawałoby się zjawisko normalne. Znaczków o tematyce religijnej ukazuje się dziś bardzo wiele na świecie. Chodzi jednakże o to że seria ta — Meryem Ana Efes — w wartościach 30 kurus 40 kürüs, 75 kurus oraz 105 kurus, została wydana przez Turecką Pocztę Państwową czyli Türkiye Cumhuriyeti Postalari. Turcja, jak wiadomo, jest krajem o przytłaczającej muzułmańskiej większości i laickim systemie państwowym. Wobec tego „Türkiye Cumhuriytti czok jasza". — Z przeprosinami za fonetyczną pisownię prawdziwych sentymentów.

* * *

Kuźma Wołk, mój kolega po piórze wydziwiał niedawno gen. Jaruzelskiemu, reżimowemu gen. dyw. „wicęministrowi Obrony Narodowej GZPWP", jakoby oficer ten był przesadzonym sowieciarzem. Kuźma Wołk, przy najlepszej woli, bardzo by zyskał na dokładniejszym sprawdzaniu swoich wiadomości i cokolwiek bardziej utemperowanym słownictwie. A co do Jaruzelskiego to z ostatniego „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej" wychodzącego w Londynie wynika, iż w Ranglisten des Kaiserlichen und Königlichen Heeres za rok 1917 figuruje ppor. 2-go Pułku Ułanów (oczywiście austriackich) Franciszek von Jaruzelski.

Nazwisko brzmi dość niecodziennie i z pewnością Iwanow czy Połusztannikow nie wpadliby na pomysł zakamuflowania się pod nim. ,

* * *

„Tempo" mediolańskie (No. A. XXVI, N. 27 z 4 lipca 1964) po raz niewiadomo który zasługuje na najwyższe dziennikarskie zachwyty. Oto bowiem w ramach ankiety Giovanni Arpino na temat młodzieży współczesnej zamieściło odpowiedź niejakiej Thea Fleming (una attrice olandese — na oko nie więcej jak dwadzieścia, dwadzieścia parę lat, goła ale przykryta dekoracyjnym ręcznikiem, w momencie kąpieli słonecznej na dachu nella sua casa romana — jakbym widział —) na kilka palących zagadnień: więc — kierowcy włoscy są zbyt nerwowi; z włoskich mężów stanu najbardziej podoba się jej prezydent Segni. Dlaczego? — Jasne, wszyscy inni są zbyt tłuści. ,

Do wiadomości wszystkich admiratorów „Il Gattopardo" podaję iż ukazała się w Palermo (S.F. Flaccovio, Ed. 1963) książka pióra Sig. Vitello na temat realiów arcydzieła. Nazywa się „I. Gattopardi di Donnafugata" (Tomasi). Niezmiernie interesujący i nieodzowny vade mecum do dzieł księcia Lampedusa.

Z DZIAŁALNOŚCI REFERATU PRASOWEGO SPK W HOLANDII

Nieprześcigniony w pracowitości kol. B. Strenk, referent prasowy ogniwa holenderskiego SPK opublikował ostatnio nowy piąty numer „Kombatanta Polskiego w Holandii" po holendersku. Na treść jego składają się: Tekst rezolucji krajowego zjazdu SPK w Holandii w sprawie granicy polskiej na Odrze i Nysie, Memoriał Federacji Światowej SPK w sprawie Polaków trzymanych przymusowo w Rosji (ten sam memoriał ukazał się w osobnej odbitce po holendersku), artykuł pt. „Nauka i Sztuka uciskane w Polsce", art. red. B. Strenka pt. „Bitwa pod M. Cassino", wyjątki z przedmowy Wilem A. Maijera do książki prof. Bernarda Marka „Walka i Zagłada Getta Warszawskiego", wreszcie sprawozdania i kronika aktualna.

Oprócz tego red. Strenk opublikował w czasopiśmie holenderskim HET VOLK obszerny artykuł poświęcony rocznicy bitwy pod M. Cassino pt. „De Slag om Monte Cassino" i list do redakcji czasopisma GW polemizujący z fałszywymi opiniami na temat stosunku Polaków do tragedii Getta Warszawskiego.

ANTYKOMUNIZM DYNAMICZTY

(Dokończenie ze str. 1)

ma pretensje największe. Choć lojalny członek dwu przymierzy zachodnich, CENTO i SEATO, nie otrzymał on poparcia przeciw neutralistycznym Indiom w sprawie Kaszmiru, a ponadto uważa się, prawdopodobnie słusznie, za pokrzywdzonego w rozmiarach wojskowej i ekonomicznej pomocy od Stanów Zj. w porównaniu z tymiż Indiami.

Pierwszą retorsją Pakistanu na te mało przyjazne kroki Waszyngtonu było nawiązanie bliższych stosunków z Pekinem, a ostatni pakt z Persją i Turcją jest dalszym etapem tej samej droki. W związku z tym zwrotem dyplomacji trzech państw prezydent Pakistanu gen. Ajub, udał się z wizytą do Ankary.

NAJCIEMNIEJSZE CHMURY

Najciemniejsze jednak chmury zbierają się nad polityką Waszyngtonu w płd. wschodniej Azji. Dwuznaczność i wielotorowość, brak decyzji i zdrada wiernych przyjaciół, wszystko to rodzi teraz amerykańskiemu rządowi Demokratów na tym obszarze świata najfatalniejsze chyba owoce. Stany Zj. popierały w Laosie neutralistów przeciw antykomunistom, w płd. Wietnamie — antykomunistów, z tym że najwierniejszego z nich, Diema opuszczono i wydano na śmierć, a wreszcie dalej na południu rząd waszyngtoński stawia dla odmiany na . . . prokomunistycznego Sukarnę przeciw prozachodniej Federacji Malezyjskiej z premierem Tunku Abdul Ramanem.

W rezultacie tych, trzech różnych linii, na terenie Laosu neutralizm przegrał na rzecz komunistów, a w sąsiednim Wietnamie ponosi coraz nowe klęski, mimo rosnącej pomocy amerykańskiej i demonstracyjnego wysłania tam jako ambasadora gen. Taylora, przedtem przewodniczącego szefów sztabu amerykańskich sił zbrojnych. Malezyjski premier Tunku miał ostatnio uzasadnioną nadzieję, że głosząc hasło nieprzejednanej walki z ofensywą komunistyczną ku południowi w Indochinach, Waszyngton zdobędzie się przecież na wsparcie, przynajmniej moralne, bariery prozachodniej jaką jest położona tak niedaleko Malezja; wsparcie konieczne przeciw atakującej ją zaciekle prokomunistycznej Indonezji. W tym celu szef rządu malezyjskiego z londyńskiej konferencji premierów Wspólnoty Brytyjskiej udał się właśnie do Waszyngtonu.

Przeważa jednak opinia, że tak krętymi chodząca drogami, nieszczęsna polityka rządu Demokratów nie wróży mu także obecnie sukcesu. Komunikat krajów tzw. ANZUS, czyli obronego traktatu Australii, Nowej Zelandii i Stanów Zjednoczonych, których przedstawiciele obradowali w ostatnich dniach, nie udzielił bowiem takiego poparcia. Były jakieś ogólniki, ale słowo Indonezja nie zostało nawet wymienione. Sukarno tymczasem, u którego gościł niedawno Mikojan, przy pomocy sowieckiej broni atakuje dalej obszary Malezji na Borneo w Sarawaku i odgraża się, że jest to dopiero początek pełnej „konfrontacji" (nowe słowa naszej obłudnej epoki na określenie wojny) z Malezją ze strony Indonezji.

Jest prawdopodobne, że wszystkie te fatalne zygzaki Waszyngtonu są konsekwencją teorii o konflikcie sowiecko-chińskim i nadziei, że prosowieckie wpływy są czynnikiem hamującym czerwoną ofensywę w płd. wschodniej Azji, czyli że skrępują wkońcu również Sukarnę. W praktyce cała ta kalkulacja amerykańskich speców prowadzi Stany Zj. i siły antykomunistyczne do coraz nowych klęsk, a rzekomo skłóconemu wewnętrznie komunizmowi — daje coraz nowe sukcesy.

PREMIERZY COMMONWEALTH'U W LONDYNIE — WODZOWIE AFRYKI W KAIRZE

Nietyle ważne i owocne, co głośne były dwa, odbyte ostatnio zjazdy: szefów rządu Brytyjskiej Wspólnoty Narodów nad Tamizą i zaraz po tym — wodzów niepodległej Afryki nad Nilem.

Konferencji premierów Commonwealth'u towarzyszyły zwykłe rozważania prasy, czy Wspólnota ta w ogóle jeszcze istnieje, a — jeśli tak — to na czym właściwie polega. Najważniejszym, a negatywnej dla Londynu wartości faktem były dwie nieobecności: nowego premiera Indii Szastri'ego, oraz Płd. Rodezji — Smith'a. Pierwszy z nich jakoś dziwnie w porę „ciężko zachorował z przepracowania" na czas konferencji. Chodziło mu na prawdę o uniknięcie spotkania z przedstawicielem Pakistanu oraz dyskusji na temat Kaszmiru, w której nie spodziewał się dostatecznego poparcia ze strony Londynu, nie udzielającego zresztą nikomu z reguły stanowczo, czegoś podobnego.

Najwięcej wysiłku włożyli premierzy w wykoncypowanie komunikatu końcowego, który by pozwolił ukryć różnice, zarysowane w najsporniejszej sprawie płd. Rodezji, gdzie rząd jest dalej w ręku białych, którzy przyjęli konstytucję, mającą ten stan utrzymać. Czarni premierzy Commonwealth'u domagali się stanowczego wystąpienia przeciw rządowi nieobecnego Smith'a, który grozi samodzielnym ogłoszeniem niepodległości i porzuceniem Wspólnoty. Londyn, jak zwykle, siedzi na dwu stołkach i próbuje zwlekać. Premierowi Sir Alec Home'owi przypisano jako wielką zasługę, że sprawa płd. rodezyjska nie rozbiła konferencji.

Wodzowie afrykańscy, choć pod hasłem jedności Czarnego Lądu, kłócili się w Kairze bardzo gwałtownie i gadatliwie o tempo i sposób jednoczenia politycznego swoich, nowokreowanych suwerenności. Dr. Nkruma dyktator Gany występował, jako zwolennik natychmiastowego tworzenia centralnego rządu afrykańskiego, co spotkało się ze zrozumiałym sprzeciwem rozsądniejszych i bardziej umiarkowanych premierów innych krajów, zwłaszcza dawnej Wspólnoty Francuskiej oraz premiera Tanganiki — Nyerere. W rezultacie skończyło się na powołaniu sekretariatu panafrykańskiego, który będzie się mieścił w etiopskiej Addis Abebie.

Dodowem, jak daleko Afryce do politycznej jedności był fakt, że nie dopuszczono na kairski zjazd premiera jednego z najważniejszych państw tego kontynentu — Konga. M. Czombe bowiem nie cieszy się sympatiami, zwłaszcza algierskiego Ben Belli. Niemniej, został legalnie premierem swego kraju i afront mu zrobiony był objawem ingerencji w wewnętrzne sprawy państwa wspólnoty afrykańskiej, potępianej w zasadzie przez wszystkich. Precedens ten nie wróży dobrze stosunkom wzajemnym państw na Czarnym Lądzie w przyszłości.

CZERWONY „SZCZYT" W WARSZAWIE

Tegoroczna, dwudziesta rocznica tzw. manifestu lubelskiego, jako symbolu narzucenia Polsce w oparciu o przemoc armii sowieckich, kierowanego z Moskwy, rządu a dalej ustroju komunistycznego, święcona jest z większą niż zwykle uroczystością. Przyjechał Chruszczow, zapowiedziany jest z Pragi Nowotny i inni przedstawiciele reżimów satelickich. Prasa zachodnia spodziewa się ważniejszych obrad wschodniego „szczytu" europejskiego, na którym miały by, jej zdaniem, zapaść ważniejsze decyzje w zakresie konfliktu ideologicznego Moskwa-Pekin. Ze strony polskiej nie ma powodu do radości i nadziei z powodu — wątpliwej zresztą — głębi sporu sowiecko-chińskiego, który zbliża Rosję do Zachodu i nie wróży bynajmniej poprawy położenia Polski ani nie otwiera widoków jej wyzwolenia.

Z. S.

„PRZEGLĄD ZACHODNI"
miesięcznik
Zw. Polskich Ziem Zachodnich
poświęcony zagadnieniom polsko-niemieckim Ziemiom Zachodnim
Roczna prenumerata 18/- lub 3 dolary
ZWIĄZEK
POLSKICH ZIEM ZACHODNICH
20 Princes Gate, London, S. W. 7.

WŁADYSŁAW OPOLSKI

SPRAWY KRAJOWE

SKUTKI LIKWIDACJI WOLNYCH ZAWODOW: ADWOKACI

W ciągu jednego tylko roku uległy w Polsce likwidacji dwa pozostałe jeszcze wolne zawody: zlikwidowano w zupełności prywatną praktykę adwokatów i prawie zupełnie praktykę prywatną lekarzy. Praktykę prywatną adwokatów zniesiono w drodze ustawy, lekarzy w drodze zwyczajnych zarządzeń ministra zdrowia o „etatyzacji" stanowisk lekarskich. Uspołecznienie obu wymienionych zawodów oparto na wzorach sowieckich oraz praktyce innych satelitów, którzy likwidację już wcześniej u siebie przeprowadzili. Forsowanie przez obu resortowych ministrów nowej organizacji wskazywało na nacisk ze strony centralnego ośrodka dyspozycyjnego. Zignorowano nie tylko protesty ze strony adwokatów i lekarzy, wyrażone na zebraniach dyskusyjnych lecz również i krytykę w prasie partyjnej.

Likwidację prywatnej praktyki tych dwóch zawodów zaczyna Kraj odczuwać już teraz, jednak pełne skutki wystąpią dopiero za kilka lat, gdy reżym, podobnie jak w wielu innych wypadkach, będzie się starał naprawić „błędy i wypaczenia ubiegłego okresu".

O zamiarach wprowadzenia kolektywów adwokackich pisaliśmy już na łamach „O.B." (z 8 sierpnia 1963 roku). W międzyczasie kolektywy zostały wprowadzone ustawą z 19 grudnia ub. roku, która zmieniła obowiązującą do tego czasu ustawę o adwokaturze z 1950 roku. Główną cechą ustawy jest całkowite zniesienie prywatnej praktyki adwokatów i możliwość wykonywania tego zawodu tylko w kolektywach, w tzw. społecznych biurach pomocy prawnej lub też w charakterze doradców prawnych w różnego rodzaju przedsiębiorstwach i organizacjach.

Adwokat, członek kolektywu, nie może jednocześnie być doradcą prawnym innych instytucji. Minimum jego dochodu, ustalone (obecnie na dwa tysiące złotych) ustala minister sprawiedliwości, który jednocześnie ustala opłaty za poradę prawną i prowadzenie spraw, jakie kolektyw może pobierać od klientów. Przyjęcie od klienta dodatkowego honorarium, grozi surowymi karami, głównie skreśleniem adwokata z listy adwokatów, prowadzonej przez rady adwokackie.

Dalszą cechą nowej ustawy jest nieograniczony nadzór ministra sprawiedliwości nad czynnościami, nie tylko rad adwokackich, lecz również nad kolektywami i sposobem wykonywania zawodu przez indywidualnych adwokatów. Może on w każdej chwili zażądać od Izby zawieszenia adwokata w jego czynnościach, jeśli, zdaniem ministra, czynność jego koliduje „z interesem społecznym".

W stosunku do Izb adwokackich, minister może również „w interesie społecznym" zażądać, by powzięta już przez Izbę uchwała została zmieniona lub całkowicie zniesiona i zastąpiona nową uchwałą; może on ponadto zażądać zwolnienia członka Izby i nakazać wybranie w jego miejsce innego.

Usprawnienia ministra zawarte w nowej ustawie sięgają jeszcze dalej. Ustawa uprawnia go do ustalenia liczby adwokatów dla każdego okręgu sądowego, co jest równoznaczne z przymusowym przeniesieniem adwokata z większych ośrodków na prowincję.

Z chwilą wprowadzenia nowej ustawy, Izby Adwokackie, poddane całkowicie nadzorowi ministra sprawiedliwości utraciły charakter reprezentacji tego zawodu, chociaż ustawa w dalszym ciągu nazywa je samorządem adwokackim, chociaż z uprawnień ministra wynika wyraźnie, że może on ustalić skład Izby według własnej woli.

Konkurencja dla kolektywów

Konkurencję dla kolektywów stanowić będą nie tylko nowopowstałe społeczne biura pomocy prawnej, lecz również znacznie zwiększona ilość stanowisk doradców prawnych w przedsiębiorstwach państwowych, kooperatywach, związkach zawodowych i innych organizacjach społecznych. Tu, w każdym wypadku, remuneracje adwokatów opierają się na umowie z pracodawcą. W wypadku społecznych biur pomocy prawnej jest nim regionalna (wojewódzka lub powiatowa), lub miejska rada narodowa. Umowa określa pobory oraz inne dodatki i dobrodziejstwa, z których korzystają inni pracownicy Rad. Podobnie na umowie opiera się remuneracja przyznana adwokatowi przez inne instytucje. Zarówno w radach narodowych jak i innych organizacjach adwokat korzystać będzie z diet, zniżki kolejowej i tanich wczasów w domach wypoczynkowych, prowadzonych przez pracodawcę. Obowiązuje go ten sam czas pracy jaki obowiązuje innych urzędników i podobnie jak oni nabywa on prawa do emerytury.

Skutki kolektywizacji

Zachodzi pytanie jakie są skutki bezpośrednie nowej organizacji, a jakie będą jej skutki po kilku latach.

Na tym miejscu należy przypomnieć, że na końcu ubiegłego roku było w Polsce 5.744 adwokatów, z których 4.900 prowadziło praktykę albo w zespołach adwokackich opartych na ustawie z 1950 r., albo (bardzo mała liczba), poza zespołem. Jakie więc skutki wywołała ustawa bezpośrednio po jej wprowadzeniu?

Jak wynika z wiadomości nadchodzących z kraju, wcale pokaźna liczba adwokatów starała się uzyskać stanowiska doradców prawnych w przedsiębiorstwach i instytucjach, które takiego stanowiska dotychczas jeszcze nie posiadały. Jest to zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, że chociaż remuneracja jest skromniejsza, za to praca jest znacznie wygodniejsza, a niezależnie od tego adwokat otrzymuje tam biuro i mieszkanie, którego uzyskanie było i pozostało marzeniem. Nie musi on ponadto „gonić" za klientami, bo dostarcza mu ich pracodawca. Ujemną stroną jest niemożliwość dorobienia się po latach pracy finansowej rezerwy i upragnionego przez wszystkich samochodu, którego cena w kraju wynosi około sto tysięcy złotych.

Należy się przeto spodziewać, że w niedługim stosunkowo czasie, liczba adwokatów skolektywizowanych ulegnie redukcji. Nie zwiększy to jednak liczby adwokatów na prowincji, gdzie sądy powiatowe nie są w stanie dać adwokatowi minimum egzystencji.

Gorzej natomiast przedstawia się sprawa zawodu adwokackiego w przyszłości. „Odrabiając" sprawy w kolektywie tak by były one zgodne „z interesem społecznym", zawód ten nie wyda w przyszłości ani wybitnych cywilistów ani kryminologów. Musi to z biegiem czasu doprowadzić do zubożenia polskiej jurysprudencji.

„STARYM OJCÓW NASZYCH SZLAKIEM

Pod takim tytułem ukazała sie jednodniówka wydana przez SPK w WBrytanii pod patronatem i pry pomocy Komitetu 50-lecia Czynu Zbrojnego Józefa Piłsudskiego.

„Starym ojców naszych szlakiem" — to książeczka pamiątkowa a jednocześnie zbiór materiałów do zorganzowania obchodu rocznicy. Zawiera: zwięzłe pogadanki o Józefie Piłsudskim, ks.biskupie Bandurskim, Lisie-Kuli; wybór wierszy i prozy pisarzy-legionistów (Edward Słoński, Józef Mączka, Andrzej Strug), wspomnienia uczestników pierwszych bojów, 12 pieśni z nutami. Uzupełniają tekst fotografie oraz ilustracje.

Stron 40. Do nabycia: Księgarnia SPK. Cena 3/-

SOVIETICA

BREŻNIEW I MIK

Na ostatnim posiedzeniu lipcowej sesji Wierchownego Sowieta Chruszczow zaproponował „wybór" Mikojana przewodniczącym prezydium, czyli zbiorowej głowy sowieckiego państwa. Ze zwykłą jednomyślnością zostało to posłusznie uchwalone. „Wybór" ten, postanowiony poprzednio przez prezydium partyjnego Komitetu Centralnego, oznacza zarazem dymisję z tego formalnie najwyższego stanowiska w ZSSR — Leonida Breżniewa, który zajmował je od roku 1960, wszedłszy na miejsce popadłego w niełaskę starego i schorowanego Woroszyłowa, następcy zmarłgo Kalinina.

Dla Mikojana, który konsekwentnie popierał Chruszczowa w jego dążeniu do jedynowładztwa i rozgrywkach z przeciwnikami, nominacja jest wysłużoną zapłatą za te gorliwe usługi. Sam, jeszcze dawniejszy od Chruszczowa adjutant Stalina, Mikojan bez skrupułów przyłączył się do kampanii przeciw zmarłemu przywódcy i do walki z opozycją jako ze „stalinowcami". Znający się na sprawach gospodarczych i handlu międzynarodowym, był też używany przez Chruszczowa do rozmaitych ważnych misji zagranicznych. Ostatnio odbył podróż do Japonii Indonezji, Birmy,Indii i Afganistanu. Ma lat 68, chorował ostatnio i to zapewne przyczyniło się do przeniesienia sprytnego „armiaszki" na luksusową synekurę, na której ze swoją znajomością stosunków międzynarodowych i wygodną opinią zwolennika „pokojowej koegzystencji" z Zachodem może się jeszcze Chruszczowowi przydać.

DYMISJA, KTÓRA MOŻE SIĘ OKAZAĆ AWANSEM

Zdymisjonowany z prezydentury, 58-letni Leonid Breżniew, według powszechnej opinii w istocie wszedł na drogę awansu. Będzie bowiem mógł odtąd poświęcić się całkowicie pracy w sekretaeriacie Komitetu Centralnego partii, jako we właściwym ośrodku władzy. Był on tam jednym z sekretaerzy już od roku i jako od dawna członek Prezydium KC, po Chruszczowie i obok Podgórnego zajmował tam pozycję czołową. Zwolniony z reprezentacyjnych raczej obowiązków formalnej głowy państwa będzie teraz mógł skupić całą energię na rządzeniu i ... umacnianiu swojej osobistej pozycji.

To drugie może w obecnej sytuacja personalnej na sowieckim szczycie okazać się szczególnie ważne. Chruszczow ma lat 70 i wewnętrzne trudności, zwłaszcza spowodowane atakami osobistymi na niego ze strony Pekinu, z którym wdał się w spory, kłopotliwie dla Moskwy się przedłużające, aktualizują zagadnienie następstwa po nim. Na następcę przez dłuższy czas typowano Frola Kozłowa, o którym jednak w ostatnich miesiącach słyszy się jakoby ciężko zachorował. Potem przejściowo zachodni sowietolodzy zaczęli estawiaś na Ustinowa, jako przedstawiciela rzekomo coraz ważniejszej w Sowietach „klasy menadżerów".

ILU WIĘŹNIÓW LICZĄ TERAZ ŁAGRY?

Z Polski przeniknęły na Zachód, poufne ale wiarygodne, informacje na temat obecnego zaludnienia „nieistniejących" łagrów i nowych form więzienia ważniejszych przestępców politycznych, których według niektórych sowietologów zachodnich - także w Rosji Chruszczowa nie ma już być. Wiadomości te pochodzą od zwolnionych ostatnio i repatriowanych naszych rodaków, nie mogących, oczywiście, jawnie publikować tego w Polsce.

Stwierdzają oni, że ilość długoterminowych więźniów w łagrach (nie licząc więzień) ocenianą jest teraz na trzy do czterech milionów i że niewolna ich praca wyzyskiwana jest dalej w kopalniach, zwłaszcza złota, przy budowie dróg i w lasach, wszystko głównie na Syberii, czyli taksamo jak za naszych czasów niewoli sowieckiej w latach 1939-41.

W obozach tych jest dalej wielu cudzoziemców: Polaków, Bałtów, Niemców i Jugolsłowian. Ponadto, drobniejsi przestępcy, skazani na krótsze okresy, przebywają w obozach lżejszych i bliżej położonych, skąd też — według omawianego już w tej rubryce dekretu Wierchownego Sowietu z 26 marca br. — więźniowie ci mogą być kierowani do pracy w przemyśle chemicznym na łagodniejszych warunkach i następnie, w razie dobrego sprawowania się, całkowicie jakoby zwalniani.

Dla nowych, ważniejszych przestępców politycznych wymyślono natomiast coś nowego: **sowchozy dla umysłowo chorych.** Są to łagry ściśle odosobnione i strzeżone, z których nie przedstają się na zewnątrz prawie żadne informacje i gdzie lokuje swoich przeciwników reżym Chruszczowa. W

B.D.I.C

PAWEŁ ZAREMBA

„JAK ŚWIAT ŚWIATEM...“ ALEKSANDRA BREGMANA

„Póki Kreml może wyzyskiwać obawy narodu polskiego przed Niemcami, ma on potężny atut dla utrzymania Polski w stanie zależności. A póki Polska nie jest wolna, nikłe są, jeśli w ogóle istnieją, szanse zjednoczenia Niemiec. Na odwrót — póki Niemcy nie są zjednoczone, nikłe są szanse odzyskania przez Polskę niepodległości“.

Tak pisze Aleksander Bregman we wstępie do swej książki*) o stosunkach polsko-niemieckich. By wyrazić się ściślej, książka stawia sobie za zadanie rozpatrzenie konieczności i możliwości pojednania między Polską i Niemcami. Stąd jej tytuł. Doskonały dziennikarsko zmusza każdego Polaka najbardziej nawet skostniałego w tradycyjnym kwietyźmie polityczno-historycznym do reakcji myślowej. Właśnie myślowej, a nie tylko uczuciowej. „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem“. Przysłowia są mądrością narodów w przekonaniu bardzo wielu. Więc i na te słowa niejeden Polak skinie głową z głębokim przekonaniem, że usłyszał niezachwianą prawdę. Potem westchnie pobożnie i powie „niestety“. Nie wiadomo ile w tym „niestety“ będzie obłudy, ile nawyku a ile cierpiętniczej aprobaty. Bregman natomiast po słowach „Jak świat światem...“ stawia znak zapytania. Poddaje w wątpliwość mądrość płynącą z przysłowia! Rzuca rękawicę uprzedzeniom. Znak zapytania obchodzić powinien nie tylko Polaków, ale i Niemców. Bo chyba w tym jedynie względzie panowała od wieków zgodność poglądów między obydwoma narodami. Ani Niemcy ani Polacy o wzajemnym „braterstwie“ nie myśleli, pomimo osławionych „Polenlieder“ i deklaracji robotników niemieckich w r. 1863, uchwalonej ... w Londynie.

Bregman nie jest utopistą. Jest wytrawnym publicystą politycznym. Słowa swoje odważa, a poglądów nie krystalizuje pod wpływem chwili i „pobożnych życzeń“. Lecz twierdzi, że dobrze by było gdyby Niemcy i Polacy zaczęli myśleć o przyszłości pod kątem wspólnych interesów. „Braterstwo“ to słowo z przysłów i z marzeń. Natomiast słowa takie jak „sąsiedztwo“ (z domyślnym: „dobre“), porozumienie, układ, ba! przymierze — należą do terminów politycznych.

Czy należą także do realnych gdy o stosunki polsko-niemieckie chodzi? Bregman odpowiada twierdząco. Uzasadniając tę odpowiedź jest trochę niecierpliwy. Chce przebrnąć jak najszybciej przez tę część zagadnienia by zabrać się do następnego pytania: jak i co należy zrobić by słowa te stały się politycznym ciałem? Pośpiech jest tak wielki, że drugą część książki rozpoczyna rozdziałem opatrzonym jeszcze jednym znakiem zapytania. Tytuł rozdziału: Wróg Dziedziczny?

Niepotrzebny to rozdział w książce, którą przy całym krytycyzmie, uważam za ważne wydarzenie w polskim myśleniu politycznym. W dziesięciu stronach mieści wykład historiozoficzny, pełen zupełnie prawidłowo poustawianych faktów i zupełnie wadliwych wniosków. Rzeczypospolita Polska więcej proporcjonalnie lat trwała w wojnie z Moskwą, Rosją czy innym wschodem niż z Niemcami. Wiemy, znamy. Były okresy, na przykład w wieku XVII, gdy nie walczyliśmy zbrojnie z państwem niemieckim Święta prawda. Ale nie walczyliśmy dlatego, że na dobrą sprawę nie było wtedy „państwa niemieckiego“. Statystyka lat to niebezpieczna sprawa. Dopiero przełom czternastego i piętnastego wieku zdecydował czy w ogóle będziemy istnieć jako naród. Bo byliśmy na najlepszej drodze do „ześlączenia“ czy „zczeszenia“ w drodze penetracji wojennej i pokojowej. Podkreślam słowo „pokojowej“, gdyż Piastowie śląscy zaczęli się uważać za Niemców nie ze stryczkiem na szyi lecz z dobrej woli, a Kraków był miastem niemieckim nie w drodze podboju. Nie bez racji historiografia zachodnia mówi do dziś o zwycięskiej i nagłej „reakcji słowiańskiej“, która odebrała sens synonimicznemu znaczeniu słów „łaciński“ i „niemiecki“ w naszej części Europy. „Zwycięstwo reakcji“ nastąpiło pod Grunwaldem i w Konstancji. Przygotował je uparty i nieokrzesany król-chłop, jakim był Łokietek. A także Jan Hus gdy stanął na kazalnicy w praskiej „Kaplicy Betlejemskiej“.

Dość tych dygresji, gdyż odciągają uwagę od treści książki Bregmana. Chodziło mi jedynie o stwierdzenie, że nie potrzeba wcale łamańców myślenia historycznego gdy zajmujemy się tym co „będzie“ względnie być powinno w przyszłości. Oczywiście poznanie i analiza historii jest konieczna. Od niej należy zaczynać. Lecz nie poto by z jednej przesady popadać w drugą. Przecież zdanie, które zacytowałem z książki Bregmana na wstępie tych uwag, wystarczy jako punkt wyjściowy. Wybiega ono znacznie poza sformułowania o potrzebie poznania się i o „oczyszczeniu atmosfery“ z niepewności i ze złej woli. Takie żądania powtarzają się wcale często w publicystyce i w co ważniejsze w myślach Polaków. A także Niemców. W Niemczech praca naukowa i pół-naukowa nad poznaniem Polski jest czymś więcej niż modą. Należy też mieć nadzieję, że pójdzie za nią rewizja zadawnionych poglądów i uprzedzeń.

W pierwszej części swej książki Bregman stara się wykazać, że rewizja taka już nastąpiła. Część ta nazywa się „Wizja Lokalna“. Daje mnóstwo materiału. Co nie jest rewelacyjne otrzymało porządne, analityczne naświetlenie. Jest zaś także wiele rzeczy nowych, popartych dającymi do myślenia poszlakami. Te zakrawają na rewelację. W Rozdziale 7. zatytułowanym „Problem, który przestaje istnieć“ mowa o całkowitym zaniku wpływów organizacji ziomkowskich na psychikę Niemców zachodnich. Argumenty są przekonywujące: urządzili się, propagandę rewizjonistyczną uprawia garstka fanatyków lub zawodowych krzykaczy. Nikt ich nie słucha, względnie udaje tylko, że ich słucha. Lecz głos ich słabnie i nie dociera do uszu młodzieży niemieckiej. Stąd wniosek, że o odwecie w stosunku do Polski nikt w Niemczech nie myśli. Co ważniejsze, choć mało Niemców zdobywa się na głośne i jawne odżeganie się od polityki rewizjonistycznej wobec naszych ziem zachodnich, wielu w gruncie od polityki tej już się odżegnało. A więc Odra i Nysa, kamień węgielny i niczym nie dający się zastąpić poprawnych czy przyjaznych stosunków polsko-niemieckich, doczeka się niezadługo aprobaty psychicznej po stronie niemieckiej. Bregman nie twierdzi rzecz jasna że to już nastąpiło. Twierdzi, że ewolucja idzie w tym kierunku.

Gdzie „pium desiderium“ a gdzie rzeczywistość?

Przyszłość jedynie to okaże, przyszłość, która zależeć będzie nie tylko od przemian psychicznych wśród Niemców w oparciu o dzisiejszą rzeczywistość polityczną, ale także od rozwoju wypadków na arenie międzynarodowej. Rząd i polityka oficjalna Niemieckiej Republiki Federalnej nie ogląda się tylko na ewolucję opinii we własnym kraju. Ogląda się także na rozwój koniunktury politycznej. Bo wie, że opinia właśnie do niej w Niemczech się nagnie.

Stąd rząd federalny nie ma zamiaru angażować się w deklaracje układności bo nie widzi w tym interesu. Sądzę, że nikt w Niemczech nie zrezygnuje z argumentów przetargowych dopóki nie zasiądzie do przetargu. Przedmiotem przetargu jest dla Niemiec zjednoczenie Niemiec, dla Polski pełna jej niepodległość z zachowaniem granicy na Odrze i Nysie. Przetarg tego rodzaju jest niemożliwy między Polską i Niemcami, bo nie Polska decyduje o zjednoczeniu Niemiec. Tak jest dzisiaj i Bregman tego nie przemilcza. Ale było by jego zdaniem dobrze gdyby Niemcy w sposób deklaratywny wyrzekły się raz na zawsze rewizjonizmu wobec Polski. Wówczas, jak wynika z przewodu myślowego książki Bregmana Polacy stali by się, stać by się powinni, sprzymierzeńcami Niemców w ich dążeniu do zjednoczenia dwóch połaci ich kraju, rozciętych „żelazną kurtyną“.

Nie ma powodu wątpić, że w tego rodzaju postulowanej sytuacji Polacy zjednoczenie Niemiec przyjęli by albo chętnie, albo zupełnie obojętnie. Gdyż spełnieniu tej sytuacji towarzyszyło by odzyskanie przez Polskę niepodległości ... Innymi słowy obie sytuacje wytworzyły by się w chwili gdy Rosja przestała by mieć cokolwiek do powiedzenia na zachód od swej własnej granicy.

Rozumowanie można by rozwijać dalej, wracając ciągle do tego samego punktu. Zdarzają się w historii wydarzenia niezwykłe i nic nigdy nie jest niemożliwe. Ale analiza dnia dzisiejszego każe niestety zaliczać korzyść jaką Niemcy mogli by mieć z przychylnego stosunku Polaków do problemu ich własnego zjednoczenia do korzyści bez znaczenia praktycznego.

To znaczy nieprzydatnych politycznie. Nie wynika z tego wcale by zmiana nastawienia psychicznego obu narodów w stosunku do ich podstawowych problemów życiowych miała być rzeczą obojętną. Przeciwnie. Nawet wyrażenie gotowości przyjaźni pod pewnymi, niespełnionymi dziś, warunkami, stwarza psychiczny stan dokonany, z którym, gdy o Polaków i o Niemców chodzi liczyć by się musiano nawet na Kremlu. Tu bezwzględnie należy przyznać Bregmanowi rację. Z tym wszakże, że argumenty jakie przytacza na udowodnienie dojrzałości psychicznej Niemców do wyrażania tego rodzaju gotowości z nieodłącznym w pojęciu i Bregmana i całego narodu polskiego uznaniem nienaruszalności granicy nie są wystarczająco przekonywujące. Przynajmniej w moich oczach.

Bregman nie zapomina o tych wątpliwościach. Stawia te same zapytania, które i ja stawiam. Czyni to starannie i rzetelnie. Lecz ponosi go optymizm. Nie mam powodu kwestionować któregokolwiek z faktów opisanych w pierwszej części książki. Nie mam nawet tego zamiaru. Lecz nie mogę się zgodzić z wnioskami, które zawiera druga część książki. Nosi tytuł „Perspektywy pojednania“. W niej Bregman występuje chwilami nie tylko jako publicysta starający się odgadnąć co niesie przyszłość, lecz także jako nauczyciel wskazujący co się stać powinno. Albo; co powinniśmy robić by się stało.

Bregman jest zbyt dobrym pisarzem politycznym by popadać w ton mentorski i apodyktyczny. Lecz optymizm każe mu przekreślać znaki zapytania, które sam postawił.

Któż zaprzeczy, że problemu stosunków polsko-niemieckich nie da się rozwiązać przy pomocy sloganów propagandy najeżonych słowami „nigdy, przenigdy“. Ogromną ma Bregman zasługę gdy pisze śmiało o sprawach, które w publicystyce polskiej ukrywa się często za parawanem z napisem „nie odsłaniaj“. Strusiowatość nie zastąpi twórczego myślenia, tym mniej obawa by się swymi poglądami nie narazić tym wszystkim, którzy myślenie uznają za czynność w najwyższym stopniu niepatriotyczną. To jego zasługa wobec czytelnika polskiego. Wiemy, że są Niemcy, którzy podobną zasługę — gdy piszą śmiało i konstruktywnie o sprawach polskich — mają wobec swych niemieckich czytelników. Nie są frazesami ich przemówienia i książki. Nie jest bez znaczenia, że popularność literatury polskiej, znajomość jej historii, jej zagadnień gospodarczych, jej psychiki narodowej jest dziś najmocniejsza wśród Niemców. Wiedzą o nas i interesują się nami postokroć więcej niż Anglicy, Francuzi i Amerykanie razem wzięci. I pytanie „w jakim celu?“ faktu nie zmieni. Bo celów może być kilka: naprzykład ten, o którym w książce Bregmana nie wiele, że znajomość Polski jest rozpracowaniem przeciwnika, co jest obowiązkiem każdego sztabu, czy w wojnie strzelanej czy w wojnie psychicznej. Niemcy byli i są dobrymi sztabowcami. Ale jest także cel inny, i o nim Bregman pisze: poznać Polaków jako sąsiadów po to by się z nimi dogadać. Który z celów jest ważniejszy w umysłowości niemieckiej — nie wiemy. Bregman gotów sądzić że drugi. Chciałbym bardzo by tak było.

Bregman przyznaje z góry, że nie na wszystkie pytania dotyczące warunków i możliwości pojednania polsko-niemieckiego zdoła odpowiedzieć. Nie twierdzi też, że odpowiedzi jego są bezbłędne. Dobrze by było by pamiętali o tym krytycy książki Bregmana. Tych jest bardzo wielu. Podejrzewam, że najzagorzalsi książki nie czytali. „Bo i tak wiedzą“. Otóż książkę należy przeczytać. Nie tylko dlatego, że jest pierwszą tego rodzaju próbą. Także poto by uporządkować własne wątpliwości. Ja wątpliwości miałem i mam mnóstwo. Nie podzielam optymizmu w ocenie psychicznej ewolucji Niemców gdy chodzi o ich stosunek do Polaków. Celów politycznych niemieckich boję się, choć wcale nie „instynktownie“.

I bardzo nie lubię słowa „pojednanie“ gdy starczyło by „porozumienie“ lub zrozumienie. To już bardzo wiele. Zwłaszcza gdy chodzi o Niemców. To znaczy „ludzi niemych“. To znaczy ludzi, których ani my nie mogliśmy zrozumieć ani oni nas, bo w każdej sprawie mówiliśmy dotychczas innym językiem.

I nie jest to uwaga lingwistyczna!

*) Aleksander Bregman: „Jak świat światem“ Londyn 1964. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej.

IKOJAN

Polsce wymienia się takie trzy „sanatoria“: pod Kalininem, Mińskiem i Połtawą, czyli na terenie europejskim. Stanowią one odpowiednik ściśle izolowanych więzień, które istniały za czasów Stalina dla ważniejszych osobistości politycznych, których nie tracono, lecz którzy przepadali bez śladu i jakiegokolwiek kontaktu ze światem.

SZMUGIEL ŻYWNOŚCI Z WIELKICH MIAST ... NA PROWINCJĘ

Sowiecki system przymusowego zaopatrywania w żywność przede wszystkim wielkich miast doprowadza w okresach większych trudności do paradoksalnego zjawiska: szmuglu jedzenia z miasta na prowincję. W tym roku, jako szczególnie niepomyślnym w Rosji pod względem zaopatrzenia w produkty rolne, szmugiel ten przybrał takie rozmiary, że władze muszą stosować rozmaite represje dla zapobiegania mu.

Wprowadzono więc kontrolę wozów drogach z wielkich miast i bagażu na stacjach kolejowych, przez specjalne patrole policyjne, które konfiskują wszelką żywność. Do miast, otoczonych taką ochroną przed ogałacaniem z produktów żywnościowych czyli brakującego mięsa, masła, mleka, jaj, jarzyn ziemniaków należa w szczególności Moskwa, Leningrad, Kijów, Mińsk, podmoskiewski Włodzimierz i Wołgograd-Stalingrad.

Prasa zwala odpowiedzialność za te braki na wadiwa organizację handlową, co jest, oczywiście, prawdą, ale pomija główną przyczynę w postaci złego urodzaju zeszłorocznego. Spowodował on wybijanie na sow - i kołchozach drobiu, bydła i świń, w ogóle żywca, którego nie było czym karmić. W rezultacie, zamiast reklamowanej w prasie zachodniej, rzekomej liberalizacji gospodarczej mamy zaostrzoną kontrolę i reżym policyjny. (s.)

„POLAND AND GERMANY“

Kwartalnik wydawany przez Ośrodek Badań Zagadnień Polsko-Niemieckich

Adres korespondencyjny:

20 Princes Gate London S.W. 7

KRZYŻÓWKA NR. 561/64

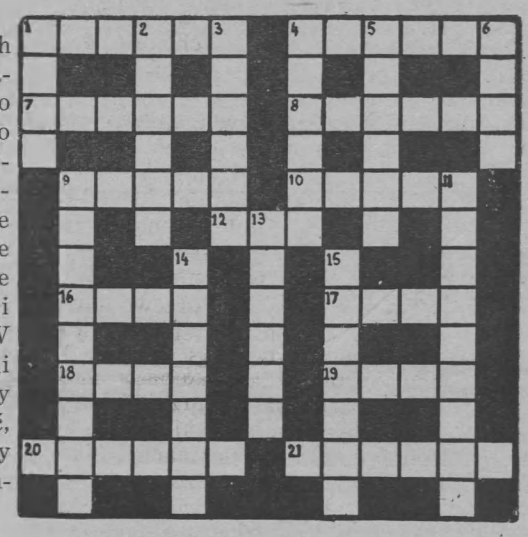

ZNACZENIE WYRAZÓW

...**Poziome:** 1) naokoło gospodarstwa z lassem?; 4) od niego zaczynasz walkę z nieprzyjacielem (wspak); 7) widział hulanki Kmicica i towarzyszy (wspak); 8) nie można za niego pochwalić Jerzego Lubomirskiego (wspak); 9) i 10 półgłosem; 12) jeśli do niego, to wystarczająco; 16 i 17) źle, gdy się w nich znajdujesz?; 18) i 19) wyczerpujące objaśnienie; 20) taka może być 2) pionowo; 21) historyczne miary?

Pionowe: 1) i 6) wada, która nakazuje być z daleka?; 2) zwierzę, zdrobniale koło Warszawy; 3) miasto w Po, sce, od drzewa i ryby? (wspak); 4) ceremoniał (wspak); 5) broń polemiczna?; 9) poboczny; 11) Wawrzyniec Wspaniały; 13)pół na pół przy surducie?; 14) podskoki; 15) sztuczka, figiel.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI KONKURSOWEJ NR 551/64

...**Poziomo:** 2)płaszczyk, 6) i 8) szypułka, 7) Łucja, 9) Wawel. 10) wyrwa, 11) Filon, 12) pytel, 14) niedyspozycja. 19) kurs 20) laik, 21) ćwiek, 22) i 23) zgrzebło, 24) absyda, 25) gratka.

Pionowo: 1) buszować, 2) poprawa, 3) zachwyt, 4) krupnik, 5) biadanie 12) Prypeć, 13) Kuszel (wspak), 14) nauczka, 15) strusie (wspak), 16) Pilica, 17) celibat, 18) Arizona.

●

KRZYjŻÓWKA KONKURSOWA NR 551/64

Nagrody drogą losowania otrzymują:

1 (£2) **O. Bańkowska,** Brockington House, 21, Hafod Rd., Hereford;

2 (A. Piłsudska — „Wspomnienia“) **Z. Gulińska-Monschein** 39 rue St-Martin, Plan-de-la-Tour (Var) France;

3 (S. Mackiewicz — „Stanisław August“) **M. Dunin-Majewski,** 147, Tufnell Park Rd., London, N.7.;

4 (J.O.Curwood — „Najdziksze serca“) **W. Obrzut,** Pernhos Home, nr.Pwllheli, N.Wales;

Z WIMBLEDONU 1964

Kto kiedykolwiek grał w tenisa, albo przynajmniej interesował się „białym sportem" a zdarzyło mu się przybyć na dłuższy , emigracyjny pobyt do Londynu, z pewnością ulega corocznie pokusie Wimbledonu. Więcej razy, czy przynajmniej raz wyprawia się do tego zielonego królestwa tenisu, które mimo upływu lat nie traci swego uroku i tradycyjnego prymatu światowego.

Telewizja pozwala teraz oglądać wygodnie i dokładnie z domowego fotela techniczną stronę gry wyświetlanych spotkań. Nie zastępuje jednak bezpośredniego uczestnictwa w tym tenisowym święcie, nie pozwala przeżywać w pełni jego atmosfery i przede wszystkim pozbawia go barwy, tej wspaniałej zieleni, która stanowi tło wimbledońskich zawodów. Trzeba pojechać na Wimbledon, aby odczuć jego piękno i magię.

Wybierając się tam po raz pierwszy i podziemną kolejką, można łatwo popełnić błąd, który mnie się kiedyś przydarzył, mianowicie kupić bilet na stację Wimbledon. Skoro figuruje ona na tej linii, skoro przybyło się często z krańca świata w tym celu do Londynu, to dokąd miało by się ostatecznie jechać? Otóż, właśnie nie do Wimbledonu, tylko wysiąść trzeba o dwa przystanki bliżej — Southfield, na nic nie mówiącym, banalnym Southfield. Wyniesie tam zresztą nowicjusza sama fala podnieconych zapaleńców teni,su, przeważnie młodzieży, jako nie mającej samochodów i pieniędzy na droższe miejsca, z góry kupowane.

DOJAZD I WEJŚCIE

Ta sama fala niesie już człowieka dalej. Wpierw do autobusów, albo do autocarów, przed którymi ustawiają się długie, choć szybko topniejące ogonki. Bilety kupuje się dla pośpiechu, stojąc w nich przed wejściem do wozu od specjalnych konduktorów i po tym szybko rusza się w krótką drogę. Obsadzona drzewami, dochodzi ona łagodnym stokiem wśród willi i ogrodów w malowniczą dolinę; widzimy po lewej wielkie golfowisko nad wijącą się wśród kęp i zagajników rzeką, a z prawej na wzniesieniu budynki i obozowisko klubu tenisowego. Obrośnięte winem, otoczone trawnikami, na których parkują setki samochodów, są one podczas dwu czerwcowych tygodni, kiedy mistrzostwa są rozgrywane, nasycone ludzkim mrowiem, ruchliwym ale ujętym w karby rozmaitych przegród i zagrodzeń, co składa się na dość porządną całość.

Z autobusu, dalej z pośpieszną falą, przez długie, kryte chodniki dochodzi się do wejścia, gdzie za 7/9 można być wpuszczonym bez biletu w obręb klubu i dostać się po tym wszędzie z wyjątkiem na numerowane miejsca. Przed wejściem na kort centralny, na kilka tysięcy stojących miejsc, przeznaczonych dla takiej kategorii nabywców z ostatniej chwili, formują się dłuższe lub krótsze, dodatkowe ogonki. Spokojni i grzeczni żołnierze-lotnicy regulują ten dopływ.

Tego roku, jak zwykle, znalazłem się tam we środę, aby zobaczyć półfinały męskie, czyli czterech najlepszych graczy turnieju. Jako w dzień powszedni i przed godziną drugą, o której gry na Wimbledonie się zaczynają, nie czekałem zbyt długo. Ogonek jest międzynarodowy; w tym roku miałem koło siebie szczupłą studentkę ze Syjamu, dwie Argentynki, jedną Peruwiankę, kilku czarnych i wreszcie angielskich tubylców w decydowanej mniejszości. Pierwsze spotkanie miało się odbyć między Austraijczykiem Stolle a amerykańskim, zeszłorocznym mistrzem Mckinley'em, co już w ogonku stało się przedmiotem uprzejmego sporu, ponieważ urocza Syjamka opowiedziała się gorąco za Stolle'm, a Peruwianka wierzyła w Mckinley'a. Nie czekalimy długo i zaledwie nadeszli pierwszy raz sprzedawcy lodów, życzliwi lotnicy wpuścili naszą czołową partię do środka.

Otaczające ze wszystkich stron zieloną arenę, trybuny były już prawie pełne, choć dwadzieścia minut dzieliło nas od drugiej. Wybrałem stronę, na której nie razi słońce i udało mi się znaleźć w stojącym tłumie z brzegu, aby patrzeć na kort ukosem i nie być zmuszony kręcić godzinami szyją, wodząc oczyma za piłką. Po ostatnich przygotowaniach, założeniu i zmierzeniu siatki, po usadowieniu się sędziów liniowych, pojawili się wreszcie sędzia główny i powitani oklaskami dwaj zawodnicy. Zaczęło się widowisko tenisowego pojedynku.

ZAWODNICY I DZISIEJSZA TECHNIKA

Przeciwnicy, którzy w ubiegłym roku 1963 byli w finale Wimbledonu, zakończonego zwycięstwem Mckinley'a ze Stanów Zjednoczonych, znali się wzajemnie dobrze i byli znani publiczności. Sylwetki ich i sposób poruszania się na boisku stanowiły kontrast. Krępy szatyn Mckinley biegł do każdej piłki, najdalej skierowanej (splasowanej) nie oszczędzał swoich sił i ryzykował upadek na śliskim trawniku boiska, wywrócił się w ciągu gry kilkakrotnie i wkońcu był mocno poplamiony. Stolle, wysoki blondyn poruszał się harmonijnie i prawie leniwie. Nie starał się odbijać dalekich, trudnych piłek, opierał swoje szanse na znakomitym podaniu (serwisie) i kończeniu piłek ze swojej strony; tylko ofensywą dążył do zwycięstwa.

Jest to zresztą w stylu gry nowoczesnej. Minęły czasy długiej wymiany piłek zwłaszcza między mężczyznami. Duży odsetek podań, to tzw. asy czyli strzały nie do odbicia,albo conajmniej podania tak ostre, że podający kończy następnie słabo oddaną piłkę z połowy boiska albo przy siatce. Z reguły więc między zawodnikami równej klasy grę zabiera podający i przełamanie tej reguły stanowi o zwycięstwie, w secie i meczu.

Ta dzisiejsza gra jest pochodną posuniętej daleko techniki szybkiego podania, siły i szybkości uderzenia, co wszystko umożliwiła kultura fizyczna i możliwość poświęcenia się przez czoło wych graczy niemal całkowicie tenisowi. Mimo uznania dla osiągnięć w tym kierunku, przyznam się, że żałuję nieco dłuższej czyli dłużej trwającej wymiany piłek, którą się ostatnio ogląda z prawdziwą przyjemnością raczej u kobiet. Błyskawiczność męskiej wymiany imponuje, ale robi z tenisa widowisko nadto zmechanizowane — walki jakby robotów. W dłuższej wymianie ujawnia się natomiast lepiej, myśl i incjatywa przeciwników. Toteż, dzisiejsze mistrzynie, nie mające jako kobiety dość siły na dążenie do kończenia od razu każdej piłki muszą wypracowwać jej wygranie nie tylko techniką ale także głową, pomysłową taktyką.

Spotkanie Stolle — Mackinley skończyło się tym razem zwycięstwem w czerech setach pierwszego, czyli skuteczniejszego ataku nad zmuszanym częściej do obrony i zmęczonym ciężką grą podwójną poprzedniego dnia, z Amerykaninem.. Drugi półfinał był mniej ciekawy. Australijczyk R. Emerson, kilkakrotny już aspirant do mistrzostwa Wimbledonu i sklasyfikowany w tym roku jako numer pierwszy na liście światowej, nie miał trudności z Niemcem Bungertem. Błyskawiczny w ruchach i podobny w technice do Mckinley'a. Emerson górował nad powolnym i pozbawionym nerwu niemieckim przeciwnikiem bezapelacyjnie.

Finał między Australijczykami, Emersonem i Stollem oglądałem po dwu dniach przez telewizję. Szybkość i wytrzymałość pierwszego mimo gorszego stylu (rażący, zbyteczny gest przy podaniu), połączone z większą koncentracją w krytycznych chwilach, dały mu zwycięstwo. Stolle przy swoim pięknym stylu, sile uderzenia i budowie ma jednak widoki na przyszłość, jeśli nabierze większej ruchliwości i koncentracji.

PRAWIE BEZ POLAKÓW — SPRAWA ZAWODOWCÓW

Po czterech godzinach patrzenia na grę, stania prawie bez ruchu w tłumie innych widzów, opuściłem centralny kort i poszedłem za trybunę pod barwne parasole samoobsługowej kawiarni, gdzie na świeżym powietrzu umieściłem się z rozkoszą w słońcu, na wygodnym krześle. Zasłużony odpoczynek nogom. Miałem teraz czas pomyśleć o całości tegorocznego Wimbledonu. Z wyjątkiem juniora Lewandowskiego, który nie odpadł od razu, ale sukcesu nie odniósł, w głównej konkurencji grał tylko jeden Polak — bezpaństwowy, A. Licis z Francji. Ma za sobą kilka dawniejszych sukcesów międzynarodowych (pobił kiedyś włoskiego Merlo i brytyjskiego Taylora) ale tym razem odpadł zaraz w grze z Amerykaninem C. Richey'em. Z Polski — prócz wymienionego juniora — nie przyjechał tego roku nikt. Doskonały w latach powojennych. Skonecki (miał na rozkładzie takich mistrzów, jak Rosewall, Hoad i Drobny) tenisowo się już postarzał. Mistrzem polskim jest od kilku lat Gąsiorek, który nie zjawił się ani nikt inny także żadna polska tenisistka, czemu trudno się dziwić, skoro mistrzynią jest, wciąż - jedyna przedwojenna polska finalistka Wimbledonu - pięćdziesięcioletnia dziś J. Jędrzejowska,co świadczy o zastoju w tej gałęzi sportu w kraju. Grał też bez powodzenia amerykański Polak R.D. Senkowski, który odpadł ze swoim rodakiem H.W.Stewartem w pierwszej kolejce.

Na łamy prasy wróciła, jak oddawna corocznie, sprawa tzw. otwartych mistrzostw Wimbledonu, czyli dopuszczenia zawodowców w znaczeniu nie trenerów ale zawodowców nowoczesnych, mianowicie grających w „cyrku tenisowym" byłego mistrza świata i Wimbledonu, Amerykanina Kramera. Występują oni tam za grube pieniądze i na zasadzie kontraktów, zapewniających im na kilka lat poważne zarobki. Istnienie tego „cyrku" ogałaca stale szczyty tenisu z najlepszych rakiet, co obniża poziom rozgrywek amatorskich i zarazem, jak myślę opóźnia rozwój tenisu przez izolowanie najlepszych graczy, jako zawodowców, z którymi amatorzy nie mają okazji się spotykać. Sprawa dopuszczenia tych zawodowców, za czym są Anglicy, ma być znowu rozpatrywana we Wiedniu, ale podobno nie ma szans przychylnego załatwienia, między innymi z powodów sprzeciwu .... Rosji Sowieckiej! Jest to jeszcze jeden dowód demagogicznej obłudy bolszewików, również w sporcie. Na Wimbledonie reprezentanci ZSSR oraz krajów im podporządkowanych wstrzymali się od spotkań z graczami Unii Płd. Afrykańskiej, jako kraju .... nieliberalnego! Nawet prasa brytyjska nie zachwyciła się tym nieoczekiwanym humanitaryzmem. A co do zawodostwa, to wszyscy czołowi sportowcy sowieccy są w praktyce utrzymywanwymi przez państwo zawodowcami i Moskwa ma najmniej prawa protestu przeciw tenisistom „cyrku" Kramera.

WIMBLEDON 1964 AUSTRALIJSKI I MARII BUENO

Wimbledon roku 1964 stał pod znakiem graczy australijskich. Finał, męski w grze pojedynczej rozegrali Emerson ze Stollem oraz męski w grze podwójnej: Stolle, Hewitt pobili parę Emerson, Fletcher — wszyscy z Australii, jak i finaliści gry mięszanej: Stolle z panną Turner zwyciężcy pary Fletcher i panna Smith. Także australijska para kobieca: Smith i Turner pobiły w finale amerykańską — Susman, Moffitt.

Jedynie w grze pojedynczej pań, wbrew powszechnym przewidywaniom, australijka Małgorzata Smith została pokonana po trzysetowym, dramatycznym meczu (6-4, 7-9, 6-3) przez brazylijkę Marię Bueno. Ta ostatnia dziś 23 letnia mistrzyni Wimbledonu z lat 1959 i 1960, chorowała następnie i zwycięstwo to jest tryumfalnym jej powrotem na szczyt tenisu. M. Smith, 21-letnia zeszłoroczna mistrzyni Wimbledonu i tego roku zajmująca pierwsze miejsce w klasyfikacji dotychczasowej, nie grała w tym spotkaniu gorzej. To jedynie Maria Bueno wykazała, zarówno niezrównaną technikę, jak wytrwałość, inicjatywę i wolę zwycięstwa, w pełni zasłużonego.

(z. s.)

WYSTAWA W STULECIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Trwający już drugi rok obchód stulecia Powstania Styczniowego znalazł swe ukoronowanie w urządzeniu „Wystawy Historycznej" w sali Domu Techników. Wzruszająca uroczystość otwarcia wystawy odbyła się 8. 7. 1964 r. Zagaił ją prezes Komitetu Wykonawczego wystawy płk. J.Z.E. Berek zapowiadając nawiązanie do dawnych czasów przez najmłodszy kwiat Polski z Fawley Court w postaci Chóru chłopców, który pod dyr. Z. Gedla wykonał kilka piosenek powstańczych zaczynając od „Hej, strzelcy wraz..." i „W złotym polu srebrne ptasze...". Po czym dwóch chłopców deklamowało patriotyczne wiersze, jednym z nich byli „Styczniowcy" J.Rostworowskiego.

W imieniu Towarzystwa Przyjaciół Fawley Court, jego prezes, gen. B. Duch, jako gospodarz wystawy, witał przybyłych z amb. E. Raczyńskim, gen. T. Bór-Komorowskim i ks. inf. W. Staniszewskim na czele Podniósł on następnie, iż Komitet Wystawy zdołał wciągnąć do współpracy przy urządzaniu tej wystawy liczne organizacje i osobistości, podkreślając przy tym zasługi dr M. Danilewiczowej kierowniczki Biblioteki Polskiej, w skatalogowaniu ok. 1000 eksponatw i p. M. Paszkiewicza, jako wykonawcy pięknego afisza propagandowego wystawy oraz p. Róży Matłachowskiej z Biblioteki Polskiego Ośrodka Naukowego też za użyczone zbiory. Dziękował wreszcie Stowarzyszeniu Techników Polskich, za bezinteresowne użyczenie sali na przygotowanie wystawy oraz prasie, do której zwrócił się z apelem o dalsze informowanie społeczeństwa, jak również i obcych, interesujących się polskimi sprawami o tej wystawie, która potrwa do 5 sierpnia br.

Mówca wyjaśnił potem nieobecność głównego inicjatora wystawy ks. Józefa Jarzębowskiego, T.M., który przebywa w szpitalu, wyrażając nadzieję, że zdrowie pozwoli mu zobaczyć to o czym myślał już od wielu lat. Podczas ostatnich odwiedzin w szpitalu o. Jarzębowski przekazał swe serdeczne podziękowania wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania wystawy i którzy swą obecnością podkreślili jej znaczenie.

Otwarcia wystawy dokonał przez przecięcie symbolicznej wstęgi gen. M. Kukiel, przypominając przy tej okoliczności swój udział w otwarciu w 1930 r. podobnej wystawy w Muzeum Narodowym w Krakowie na 100-lecie Powstania Listopadowego oraz rolę, jaką Kraków odgrywał w czasie Powstania Styczniowego. Mówca podniósł potem zasługi o. Jarzębowskiego w nagromadzeniu na obczyźnie tak bogatych zbiorów z lat 1863-64, dzięki czemu wszyscy są teraz w stanie przeżyć podniosłe wzruszenia związane z epoką, i jeszcze raz dziękował wszystkim którzy przyczynili się do urządzenia wystawy. Wystawa ta, przez cały czas swego trwania, a może i dłużej, będzie ogniskiem, w którym łączyć się będą serca wszystkich Polaków w Londynie i tych, którzy ściągną z poza Londynu, aby ją zobaczyć. Po czym zebrani zaczęli zwiezwiedzać poszczególne stoiska.

„Wystawa Historycna w Stulecie Powstania Styczniowego" jest chyba jednym z najsprawniej przygotowanych pokazów tego rodzaju. Na stosunkowo nieznacznej przestrzeni, doskonale wykorzystanej, rozmieszczono w kilku gablotkach oraz ok. 50 ramach ze szkłem prawie 1.000 ekpsonatów, bardzo przejrzyście rozłożonych. To dzieło tak sprawnych organizatorów jak płk. Berek i dr M. Danilewiczowa w pierwszym rzędzie. Oczy wabią przede wszystkim liczne stare ryciny z epoki Powstania, pełny cykl Grotgerowski w reprodukcji fotograficznej, sceny bitewne, i takie osobliwości, jak filatelistyczny obraz Powstania w opracowaniu płka Berka.

Szczególnie wzruszająca jest gablotka z pamiątkami po Romualdzie Traugucie i szafka z książkami i pismami o powstaniu o. J. Jarzębowskiego. Badacz dziejów wojskowych powstania zetknie się z niejednym autentycznym dokumentem, a historyk znajdzie bogatę kolekcję dzieł dotychczas wydanych. Innego typu osobliwością jest prasa ówczesnych czasów.

Oczywiście nie całe zbiory mogły być pokazane, jak to wynika z przeobfitego jej katalogu, drukowanego, liczącego 142 str. Gdy zbiory znowu wrócą do poszczególnych swoich posiadaczy, katalog ten będzie trwałym świadectwem ich istnienia i głównym po nich przewodnikiem. Jest on też dziełem ofiarnej współpracy i szczodrobliwości organizacji społecznych, firm przemysłowych i handlowycn oraz osób prywatnych, których lista znajduje się na str. 4 katalogu. Oto jeszcze jeden podnoszący na duchu dowód, że drogie wszystkim wspólne sprawy potrafią skupić w zgodzie wokół siebie wciąż liczną rzeszą patriotów na obczyźnie.

(j.o.)

40.000 CZŁONKÓW USUNIĘTO Z PARTII ZA PRZESTĘPSTWA „ETYCZNO-MORALNE"

W audycji radia warszawskiego p.t. „Pięć minut odpowiedzi" Mieczysław Marzec, kierownik wydziału organizacyjnego KC PZPR poinformował, że w latach 1959-1963 wyrzucono z szeregów partii 40.000 członków za przestępstwa i przewinienia „natury etyczno-moralnej". W zakres tych przestępstw wchodzą: gwałt, oszustwo, przekupstwo, złodziejstwo itp.

Marzec poinformował, że do partii przyjmowani są „ludzie z różnych środowisk". Między innymi dlatego PZPR narażona jest „na przenikanie do niej karierowiczów i kombinatorów, szukających w legitymacji partyjnej osłony dla swch poczynań". Kto jednak łamie zasady ponosi karę. „Legitymacja partyjna bronić go nie może i nie będzie". Dotyczy to oczywiście — dodajmy — jedynie przestępstw i nadużyć gospodarczych. Wiadomo bowiem, że za najbardziej wyrafinowane metody bezprawia w stosunkn do ludności kraju, członkowie partii nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. O tej kategorii przestępstw Marzec nie wspomniał.

(FEC)

PRYMAS WYSZYŃSKI O SZYKANACH REŻYMU

W kazaniu wygłoszonym 8 czerwca b.r. w kościele akademickim św. Anny w Waręzawie Prymas kardynał Stefan Wyszyński skarżył się na trudności, jakie spotkały go przy otrzymaniu własnych książek. Stwierdził mianowicie — jak informuje agencja Reutera (9.6.) — że zamówił u wydawców zagranicznyrh pewną ilość książek teologicznych, wystawionych podczas ostatnich Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie.

Gdy po zakończeniu Targów zgłosił się po odbiór książek, powiedziano mu, że zostały sprzedane innym klijentom. Była to jedna ze zwykłych szykan, których reżym nie szczędzi władzom kościelnym i duchowieństwu. Prymas oświadczył, że trzytomowe jego kazania drukowane we Francji i przysłane do Polski zostały skonfiskowane przez władze reżymowe. Kazania te — powiedział — dlatego drukowane były we Francji, ponieważ odmówiono mu zezwolenia na druk książek kościelnych w Polsce.

Kardynał Wyszyński stwierdził, że Katolicki Uniwersytet w Lublinie obłożony jest podatkiem w wysokości 39 milionów złotych rocznie. Wysokość haraczu ujawniona została po raz pierwszy.

(FEC)

JAK I KIEDY WYMORDOWANO PRZYWÓDCÓW KOMUNISTYCZNYCH

Monachijska „Antena" (nr.5) informuje, że ostatnio ukazała się we Włoszech książka p. t. „Togliatti 1937 — jak zginęli przwódcy europejskego komunizmu". Autorem jej jest Renat Miela, do niedawna czołowy przywódca włoskiej partii komunistycznej. Zebrał on i przełożył dziesiątki pism, uchwał Kominternu oraz Komunistycznej Partii Polski i innych Komunistycznych partii przed wojną i po wojnie. Miela ogłosił również relacje kilku rosyjskich, fińskich i polskich komunistów, którzy po 1956 roku ujawnili okoliczności śmierci przywódców komunistycznych w lochach NKWD czy łagrach sowieckich.

Książka zaczyna się od stwierdzenia, że ani Chruszczow ani zainteresowane partie komunistyczne z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą (PZPR) na czele nie ogłosiły dotychczas dokumentów i historii tego okresu, nie zajęły się losem swoich twórców i przywódców i nie domagają się od sądów sowieckich ani ujawnenia materiałów procesowych, ani ponownego przesłuchania żyjących jeszcze w ZSSR fałszywych oskarżycieli i świadków.

„Na łamach prasy poszczególnych partii komunistycznych — pisze Miela — nie znajdujemy nigdy słowa współczucia dla przywódców Komunistycznej Partii Polski, wymordowanych w latach 1937-1939. Gorzej, nie ma się po dziś dzień odwagi ujawnić, jak i kiedy zginęli. Nadszedł już czas — stwierdza Miela — aby komuniści w Rosji i gdzieindziej, którzy w ten czy inny sposób brali udział w likwidacji Komunistycznej Partii Polski, ogłosili nareszcie dokumenty w tej sprawie"..

(FEC)

SZYBKIE
PRZEKAZY PIENIĘŻNE
do POLSKI
Tel. FRE 3175
TAZAB
22, Roland Gdns.
London S.W.7
W NOWYM YORKU: TAZAB, 100 East 10th str., N.Y.3 N.Y.
LEKARSTWA! LEKARSTWA!
We Francji ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre Paris 17

NOWE KSIĄŻKI

LITERATURA PRZEZ MIKROSKOP

Ukazał się wreszcie pokaźny tom, liczący przeszło 600 stron, a zatytułowany „Literatura Polska na Obczyźnie 1940—1960" — Praca zbiorowa pod redakcją T. Terleckiego. Tom I (Londyn, B. Świderski, 1964). Jak bodaj każde wydawnictwo jubileuszowe, bo ma obejmować 20-lecie piśmiennictwa polskiego na obczyźnie, jest wydawnictwem spóźnionym. To nieodłączny los tego rodzaju przedsięwzięć poza Krajem. Niemniej opóźnienie to wyszło wydawnictwu o tyle na dobre, że zamiast objąć 15 lat piśmiennictwa, objęło 20 lat i to zapewne bardziej kompletnie wyczerpując nagromadzony materiał.

Zanim nasuną się jakiekolwiek inne uwagi, trzeba stwierdzić, że jest to nie tylko wydawnictwo bardzo pożądane, wręcz nieodzowne, jakkolwiek może być pod tym czy innym względem nie to, że niedoskonałe, bo rzeczy doskonałych w naszych warunkach nie sposób wymagać, ale mniej doskonałe, niżby ono mogło być. Jest to niebywały ogrom informacji, chwilowo trudno dostępnych, w braku skorowidza nazwisk (jeśli już nie rzeczowego), który ma być dopiero na końcu drugiego tomu. Jest to dzieło 10 autorów 11 działów odrębnych, obejmujących od historii literatury aż po piśmiennictwo religijne i filozoficzne. (Różne działy publicystyki znajdą się dopiero w II tomie). Trudno ogarnąć szerzej to, co ktokolwiek może rozumieć przez literaturę, przeciwstawianą piśmiennictwie ściśle naukowemu, jakkolwiek takiego przeciwstawienia nie można konsekwentnie przeprowadzić, i w książce tej nie przeprowadzono.

Jak najsłuszniej założono sobie jako cel książki możliwie wyczerpujące ogarnięcie zjawisk literackich w ich ujęciu opisowo-inwentaryzacyjnym. Stąd to wrażenie rozdrobnienia bibliograficznego, jakie na biorącym do ręki tę książkę w pierwszej chwili może ona zrobić. Pomimo awansu, jaki niejeden artykuł czy recenzja otrzymał do rzędu eseju, jest to rzeczywiście spojrzenie na piśmiennictwo polskie w diasporze jakby przez mikroskop elektroniczny. To spojrzenie jest niewątpliwie nieodzowne i związane z pierwszym podejściem do tego niebagatelnego zjawiska literackiego, jakim jest literatura emigracyjna.

Jest to więc dzieło, do którego ocenienia w całości nikt chyba nie może być powołany. Jest ono bowiem na wskroś odkrywcze i nawet dla jego redaktora — jedynego zapewne czytelnika całości — zupełnie niespodziane i zaskakujące. Jest to bowiem nieznany ląd, zatopiony w ciemnościach niewiedzy, którego kształty wyłaniały się każdemu z jego odcinkowych odkrywców w miarę zbliżania się doń i niejako obejmowania w swoje władanie. Nie znaczy to, że nie może ono liczyć na ocenę i poprawki w szczegółach. To na pewno nie. Nie każdy z obiektów tej inwentaryzacji się odnajdzie w tym kształcie, w jakim by się znaleźć chciał i powinien.

To znowu główna wina charakteru tego rodzaju pracy i charaketru jego wykonawców nie dość ze sobą zgranych i karnych. Czyli następstwo niedoborów metody. Jest nie tylko duża rozmaitość podejść do zdawałoby się prostego i wyraźnego zadania, ale wręcz też i bałagan w jego potraktowaniu przez niektórych zupełnie po amatorsku. Występuje to zwłaszcza w zestawieniu z omówioną na innym miejscu „Bibliografią prac uczonych..." M. Danilewiczowej i J. Nowakowej. Przy powstrzymywaniu się na ogół od ocen, skorzystano z wielką swobodą z swobody porządkowania i w wyniku, co w stosunku do jednego z krytyków, nazywa się np. „recenzją", u drugiego zwie się tylko „notowaniem wydarzenia". Tu dadzą się prześledzić ślady koterii i animozji w stosunku do poszczególnych autorów opracowań, najwyraźnije przeoczone przez redaktora, który całość kontrolował. No, ale trudno wyobrazić sobie jakiekolwiek zjawisko z życia literackiego, które by się obyło bez takich subiektywizmów.

Ta bezwzględnie bardzo cenna, nie tylko pod względem swego kosztu, książka, bliższa jest encyklopedii niż podręcznika. Można ją z korzyścią czytać na wyrywki, zależnie od bieżącej potrzeby. Nikt, komu bliskie są sprawy książki, literatury pięknej, lub humanistyki, nie będzie się mógł bez niej obejść. To pierwsza — nieco pogmatwaną linią narysowana — mapa „Literaturlandu", która miejmy nadzieję, poprzez gąszcze analityczne i bibliograficzne doprowadzi jednak do celu odważnego eksploratora. Jest to jak busola bardzo wrażliwa na zakłócenia najbliższego otoczenia. Wdzięczni musimy być wszyscy autorom książki, którzy włożyli w swe opracowania wiele nieodpłatnego trudu, jak również i jej naczelnemu redaktorowi za doprowadzenie tej dziesięciokonki do końca wydawniczej przejażdżki, choć mu porywiste pegazy nieraz lejce wyrywały z rąk. Nadto jest też tajemnicą poliszynela, iż drukarzom przy pracy powyrastały nad głowami aureole. Niejednemu z autorów — posiwiał włos.

Po wstępie redakcyjnym T. Terleckiego omawiają: W. Weintraub — literaturę emigracyjną wczoraj i dziś, M. Giergielewicz — Twórczość poetycka, Z. Markiewicz — Prozę beletrystyczną, M. Sambor (Chmielowiec) — uwagi o prozie beletrystycznej, J. Ostrowski — dramatopisarstwo, J. Bujnowski — esej oraz szkic literacki i krytykę artystyczną, I. Wieniewski — wznowienie tekstów pisarzy polskich i obcych, W. Wasiutyński — literaturę religijną, M. Kukiel — literaturę wojskową, Z. Kozarynowa — udział Polaków w literaturach zachodnich (str. 483—559). J. Ostrowski — filozofię i psychologię (str. 559—592).

„Mickiewicz uczniem Sarbiewskiego"

Pod powyższym tytułem ukazało się pokaźne dzieło ks. Józefa Warszawskiego (Rzym, 1964, str. 527 + 1 nl.). Pragniemy tutaj skreślić tylko kilka uwag związanych z jego ukazaniem się, które nastąpiło — dla nas — zbyt późno, aby można mu było poświęcić na tych łamach pełną uwagę. Teza zresztą tej pracy nie jest obcą czytelnikom „Orła Białego", gdyż — jak to skrupulatnie notuje autor na str. 18 — była ona referowana na łamach tego pisma w numerze z 4 maja 1961 roku w związku z jego odczytem, wygłoszonym na ten temat na zebraniu Polskiego Towarzystwa Naukowego i Towarzystwa Historycznego w Londynie.

Rzeczywiście pięknie wydany tom — przy współdziałaniu Wyd. Tern-Rybitwa — jest pomnikiem niezwykle szczegółowych i rozległych badań autora na temat wpływu wybitnego przedstawiciela zakonu Jezuitów w Polsce na największego dotychczas poetę polskiego. Wydanie tej książki nie wypada bynajmniej w dowolnej chwili, lecz właśnie na 400-lecie sprowadzenia Jezuitów do Polski, jak o tym mówi prymas kardynał Stefan Wyszyński w swym słowie wstępnym. Tym faktem praca ta wiąże się nie tylko z dziejami życia religijnego w Polsce, ale stanowi też przyczynek do podkreślenia bezspornych dodatnich wpływów zakonu na rozwój życia kulturalnego w Polsce, co w obecnej chwili historycznej ma swe doniosłe znaczenie.

Na obwolucie wykonanej przez ks. Bogdana Szykulskiego, T.Chr. o monumentalnym motywie, znajdujemy też fotografię autora, jego zwięzłą sylwetkę pisarską i zestawienie jego dotychczasowych 21 prac, co pozwala zdać sobie sprawę z istotnego zakresu i zasięgu pisarstwa ks. Warszawskiego, który szerszym rzeszom Polaków znany jest głównie jako bohaterski kapelan A.K. na Starówce — Ojciec Paweł — w okresie Powstania Warszawskiego. Tekst otwiera kolorowa reprodukcja portretu Sarbiewskiego ze zbiorów Leona Drogosław-Truszkowskiego, a ilustruje i zdobi ok. 50 rycin i ilustracji, niektóre na kredowym papierze.

Teza zwarcie wyrażona w tytule nie wszystkim idzie w smak i była już i będzie jeszcze dyskutowana i podważana, niemniej wydaje się, że zasadniczy zrąb jej nie da się już obalić. Znaczenie tego dzieła zresztą wykracza i poza nią, przeorywa ono bowiem olbrzymi materiał faktów i opinii, związanych z naszą historią kultury i literatury, tak iż daje podstawę i zachętę do dalszych jeszcze badań nad niewyświetlonymi elementami twórczości Adama Mickiewicza, żeby tylko nawiasem wskazać na jeden szczegół podniesiony przez niżej podpisanego, w czasie wojny na łamach „Orła Białego". (Literacka Łamigłówka — Mickiewicz o Libii w... Dziadach, Rok III, Nr 3 (42), 17. I. 1943, str. 7). Skąd się wzięły wzmianki o Libii w „Drodze do Rosji"? Kopalnię źródeł stanowią wykazy bibliografii, załączniki przypiskowe i skorowidze, oraz liczne uzupełnienia, z pośród których na szczególną uwagę zasługuje list kustosza Biblioteki Polskiej w Paryżu Czesława Chowańca o spisie książek przekazanych bibliotece przez Adama Mickiewicza (str. 520). Nie zabrakło też 4-stronicowego streszczenia książki po angielsku. Zadziwiającym jest chyba tylko to, że przy swoich poszukiwaniach, autor nie zdołał jakąś reprodukcją wzbogacić ikonografii samego Mickiewicza. Obok figuruje lista subskrybentów na ok. 40 egzemplarzy. Jest to niewielki zadatek na tak szeroko zakrojone dzieło o ambicjach stanowienia „punktu zwrotnego" (w całokształcie badań nad źródłami poetyki największego poety polskiego), poczynając do którego „to co zostało napisane dotychczas o życiu i dziele Mickiewicza musi być przerobione".

J. Ostrowski

KOŹMA WOŁK

PRASA W NAMORDNIKU

Listy do „Poland" — Nehru — Ludowa skromność

W niniejszym przeglądzie prasy ukazującej się obecnie w Polsce pod etykietą „PRL" zawsze staram się wyłapywać nieliczne elementy pozytywne. Pisałem też zgodnie z prawdą, iż np. „Poland" (wychodzące zresztą w kilku innych językach), wydawnictwo kulturalno-informacyjne stoi na wysokim poziomie technicznym, jest żywo i interesująco redagowane i, na ogół, obciążenie serwitutami politgramoty na jego szpaltach nie urąga przyzwoitości. Dlatego też z prawdziwą przykrością zauważyłem w ostatnim numerze (No. 5-64) rubrykę zawstydzającą. Oto bowiem zakwitły „Listy do Redakcji". Z Katangi („fizyk"), „czytelnik z Kalifornii" twierdzący iż „wrócił do domu (z „PRL") z jak najprzyjemniejszymi i pozytywnymi wrażeniami — „the most pleasant and constructive impressions". Tenże sam „Czytelnik z Kalifornii" poddaje w wątpliwość „małostkowe i powierzchowne zazdrosne krytyki polskiej rzeczywistości" ze strony polskiej emigracji — „The evaluation of the Polish expatriates is superficial, shot with petty jealousies and deprived of a sober outlook on the changing world. The expatriates are not the effective elements in the defence of natural interests of the Polish nation" — kończy swój entuzjastyczny list „Czytelnik z Kalifornii" w sposób niegramatyczny, acz nie przyjmujący możliwości sprzeciwu, ale też nie wyjaśniający skąd przyszło mu do tak zdumiewającego wniosku. W podobnym duchu piszą: „Czytelnik z Essex", „Czytelnik z Hamburga", „Czytelnik z Toronto", „Uczeń gimnazjalny z Rachvormwaldu", „Grono czytelników 'Poland' z Nowego Jorku", „Czytelnik z Andhra Pradesz" oraz „Czytelnik ze Storvik, w Szwecji". Nie potrzebuję dodawać, iż żaden z wymienionych korespondentów nie jest podpisany imieniem i nazwiskiem. Co jest tym ciekawsze iż wszyscy, na różne tematy, wykazują tak wzruszającą zbieżność z nakazaną w gomułgadzinach „linią generalną", że i tow. Wilhelmi by się nie powstydził. I jakoś nie mogę się oprzeć podejrzeniu, iż egzotyczne listy zostały skomponowane w Warszawie, na ulicy Koszykowej 6a, gdzie mieści się redakcja „Poland". Odpowiedzialność zaś prawną i moralną za nie ponoszą pp. Jerzy Piórkowski, Zdzisław Szakiewicz, Lech Zahorski, Franciszek Barącz oraz panie Eleonora Franosz i Jadwiga Korpak czyli członkowie redakcji. Jestem przekonany, iż nie należy ich winić ani za treść tych wypocin ani za toporną angielszczyznę. Stary to i znany kawał „nadziratielej", te rzekome „Listy do Redakcji". Już stary żulik Soso Dżugaszwilli pisywał swoje orędzia w „Izwiestiach" w odpowiedzi „na list kilku towarzyszy". Akurat. Przyszło im do głowy pisywanie listów do „Izwiestii" z zaznaczeniem, iż pragną komentarzy Stalina. Gomułka jednak jest tępy facet, że na takie prymitywy pozwala.

Ekspertyza Klemensa Kęplicza

Muś skończy z Indiami i wobec tego wystąpił z książką o Indiach w Warszawie („Za i Przeciw", No. 25/378, 21. 6. 1964, Rok VIII). Rozdział zatytułowany „Stare Indie w Nowym Świecie". „Nehru — autorytet i popularność bez draperii i cech kultu jednostki... ubrania Nehru szyli krawcy na Bond Street... istotę (władzy i wpływów Nehru) uchwycił dyplomata francuski uwagą: „Ah, quel moment suprème pour Nehru"... Tak, tak. W swoim czasie, kiedy Muś nazywał się trochę inaczej i służył cokolwiek komu innemu, był on niezłym dziennikarzem. Jest człowiekiem inteligentnym więc wie, iż magiczny w swojej istocie wpływ Nehru, tragicznej i rozdartej wewnętrznie postaci, w Indiach nie opierał się na „kulcie jednostki" czy, jak Muś chce, jej braku, ale na tym iż Nehru był ukochanym uczniem Ghandiego i dla olbrzymiej większości Hindusów na niego przez to spłynęła część błogosławieństw nadprzyrodzonych w jakie, dla wyznawców, wyposażony był Mahatma. Na bezstronny sąd o Ghandim jest jeszcze zbyt wcześnie, ale nie ulega wątpliwości, iż bez jego mistycznego uroku dzieje świata i Indii potoczyłyby się inaczej. Po co więc podfryzowywać na laicystycznie znane fakty. I to jeszcze w rzekomo katolickim tygodniku. Mały szczegół: krawców na Bond Street w Londynie nie ma. Są na sąsiadujących Maddox Street, Bruton Street i Saville Row. Drą tak, że życzyłbym im natychmiastowego uspołecznienia. I pisują niegrzeczne listy.

Ludowa skromność

Wszelkie publiczne wystąpienia i określenia mężów stanu na Zachodzie obowiązuje konwencja skromności. Może i jest to przeważnie ogarek Panu Bogu obok domniemanej świecy komu innemu ale, w każdym razie, te wszystkie „Servir", „Devoir", „On H.M. Service" w tytułach pamiętników generałów i mężów stanu, podkreślenie obowiązków raczej a nie przywilejów rządzących i panujących aż do „Servus Servorum Dei" w ich tytułach przypominają wszystkim zainteresowanym o właściwej hierarchii rzeczywistości. Inaczej sprawa przedstawia się w „obozie socjalistycznym", na obszarze absolutnej, jak wiadomo, równości. Oto przy okazji uroczystości 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego „Świat" (No. 21/670 z 24. 5. 64) pisze:

„Do tłumów krakowskich zebranych pod Sukiennicami przemówił gospodarz miasta Zbigniew Skolicki..."

Mała rzecz a komiczna i znamienna zarazem. Tow. Skolicki, należy przypuszczać, jest prezydentem stołecznego miasta Krakowa. Niech więc „Świat" napisze tak właśnie bez wygłupiań się z tym „gospodarstwem". Bo jakie to jest to „gospodarstwo" i z czyjego przyzwolenia? Może z wyborów albo z „woli ludu"? Albo dziedziczne, „Erb-bauortum"? Co? Zupełnie jak tow. Mitręga, ostatnio tak pięknie ukoronowany na IV Kongresie partyjnym, z tym jego „swoim" ministerstwem górnictwa w Warszawie.

„Kwartalnik Historyczny" (No. 1, Warszawa, 1964) przynosi niezmiernie interesujące zestawienie prac doktorskich na uniwersytetach polskich pod rządami „PRL". I tak wynika, iż na Uniwersytecie Toruńskim w dniu 29. 10. 1962 doktoryzował się, względnie *modo moscovitico* „bronił" (chyba „się", ale przed kim?) Marek Klibański na podstawie pracy pt. „Historia Drugiej Łużyckiej Dywizji Artylerii WP. Organizacja, szkolenie i działalność bojowa, 20. VIII. 1944 — 5. IX. 1945". Nie wątpię, iż p. Klibański „obronił się". Promotorem tego małpiarstwa był prof. W. Łukaszewicz a recenzentami prof. St. Herbst i płk. dypl. J. Stachowski. Kto inny, na Uniwersytecie Wrocławskim, doktoryzował się na temat „Roli Polskiej Partii Robotniczej w wyborach do Sejmu Ustawodawczego w r. 1947 w Województwie Śląsko-Dąbrowskim".

Wymowa doktoratów

Ale nie rozpaczajmy. Olbrzymia większość doktoratów, sądząc z krótkich opinii „Kwartalnika" była z prawdziwego zdarzenia. Daruję, stosując taryfę ulgową, p. Kiryłowi Sosnowskiemu „Dziecko w systemie hitlerowskim". Równoważąc je np. „Podstawami ekonomicznymi anatolijskiej arystokracji municypalnej w okresie wczesnego cesarstwa" pani Julii Zabłockiej („Tazab", please note) albo „Zaludnienie Wielkiego Księstwa Litewskiego i jego regres w XVII wieku" p. Józefa Morzy. Nil disperandum. Jakże rad jestem podać, iż Ossolineum zapowiedziało rychłe ukazanie się swoim nakładem „Budownictwa Egejskiego" pani Ludwiki Press, w ramach serii „Bibliotheca Antiqua.".

POLACY W PERU NA DAR NARODOWY

Z Limy, stolicy Peru, nadszedł czek na £.41.7.5 dla Polskiej Macierzy Szkolnej. Kwotę tę zebrało miejscowe Koło SPK w czasie uroczystości trzeciomajowej, która w tym roku wypadła wyjątkowo pomyślnie. W uroczystości wzięło udział ponad 80 osób. Przybył na nią również, specjalnie zaproszony, minister spraw wewnętrznych Peru dr Languasco-Habich, wnuk Polaka inżyniera Habicha, założyciela Uniwersytetu Inżynierii w Limie. Pamięć jego jest ciągle bardzo żywa w tym kraju, w samej stolicy znajduje się kilka jego pomników.

W dniu 3 maja, po mszy św. odprawionej przez ks. Kasperczaka, miejscowe Koło SPK zorganizowało obiad, w czasie którego po krótkim zagajeniu przez prezesa Koła kol. Jana Giełguda, dłuższe przemówienie okolicznościowe wygłosił prof. Uniwersytetu Katolickiego w Limie A. Ruszkowski, podkreślając wagę narodowego wychowania młodzieży. W czasie nabożeństwa śpiewał chór zorganizowany przez kol. Z. Platera.

ZLOT 40.000 MŁODZIEŻY W WARSZAWIE

Dzienniki warszawskie informują (m.in. „Sztandar Młodych", nr 109), że w połowie lipca br. jedną z centralnych imprez obchodów 20-lecia Polski Ludowej będzie zlot młodzieży w Warszawie. „Weźmie w nim udział 40.000 młodych ludzi z całego kraju, wyróżniających się w pracy, nauce i działalności społecznej".

Zlot ten — jak pisze „Sztandar Młodych" w następnym (110) numerze — poprzedzą „obozy 20-lecia", które zgrupują 25.000 przyszłych uczestników młodzieżowej imprezy w Warszawie.

Red. Podajemy tą nieco spóźnioną wiadomość z uwagi na zawarte w niej informacje o przygotowaniach.

CZYTAJ POLSKĄ KSIĄŻKĘ

CZESŁAW DOBEK

POCIĄGI CAŁEGO ŚWIATA

Konduktor zagwizdał. Lokomotywa z sykiem ruszyła naprzód. Wagony głucho uderzyły o siebie buforami. Pociąg zaczął sunąć wzdłuż peronu.

W grupce żegnających przy oknie wagonu powstał rejwach. Ostatnie okrzyki, ostatnie dowcipy. Zgiełk. Radość. Chusteczki powędrowały do oczu, a następnie wysoko w górę.

— Szczęśliwej drogi!

— Good luck!

— Bless you both!

Młody człowiek wysunął się z okna i podniósł rękę pożegnalnym gestem. Drugą ręką skurczoną nienormalnie, ręką krótką i hakowatą, trzymał za ramiona młodą dziewczynę. Dłoń sztywna w skórzanej rękawiczce leżała na białej sukience jak plama.

Pociąg dygotał, koła miarowo stukały, wagony jeden po drugim wysuwały się ze stacji.

Jeszcze było widać głowę z rozwianymi jasnymi włosami, jeszcze chwilę uniesioną rękę.

— Odjechali! — starszy pan, wielki, potężny, górujący nad wszystkimi, otarł twarz białą chustką. — Odjechali — powtórzył i odwrócił się od innych.

Jeszcze chwilę trwało zamieszanie na peronie i naraz wszyscy zniknęli. Odeszli do swego życia. Tylko wielki, zgarbiony mężczyzna trwał patrząc w ślad równoległych szyn.

— Odjechał — powiedział głośno.

— Taka to dola — podpowiedział mały, gruby jegomość nie wiadomo skąd wyskoczywszy tamtemu spod ramienia.

— Jednemu wesele, drugiemu smutek — zaśmiał się, podnosząc twarz ku wysokiemu mężczyźnie.

I znów spotkał się z milczeniem. Zgarbiony wielkolud cofnął się pomału i usiadł na ławce przy stacji.

Mała była stacyjka, pusty już peron nie dłuższy niż sto metrów. Ciemny, żółto wykończony domek wybiegał naprzód okapem, który miał chronić od deszczu. Z boku mostek żelazny przerzucony nad torami. Na wprost za płotem szum drogi i dalej wyrastające stromo zbocze góry. Świerki jak ciemni żołnierze, stały na warcie przy bramce wychodzącej na szosie.

— Pojechali — powiedział mały starszy pan, siadając obok większego na ławce. — Komu wesele, komu smutek? Oni we Włoszech miód będą pili. Hehe — zaśmiał się piskliwie. — Pan inżynier najlepszą pannę wybrał, chociaż Szkotka.

— A tak — odezwał się wreszcie tamten — dobra dziewczyna. Dobra. W tej chwili gdzieś już daleko huczący pociąg zagwizdał.

— Pociągi — powiedział wielkolud swoim niskim basowym głosem — na całym świecie są pociągi takie same.

— No cóż — westchnął mniejszy — da Bóg pojedziemy i my.

Wiatr zatargał świerkami, przeleciał nad pustą stacją i uderzył w zbocze góry

— Piękny i mądry człowiek pan inżynier — odezwał się mniejszy — aby takich więcej. Takich więcej. Pan dobrodziej jako opiekun powinien być dumny. Zdolny, szlachetny i nawet to że... — nie dokończył zmieszany nagle, zawstydzony.

— Chcesz pan powiedzieć: kaleka? No śmiało. Powiedz pan: kaleka.

— Pan dobrodziej źle mnie sądzi. Ja nie o tym myślałem. Nie o tym.

— Nie krępuj się pan. Każdy wie, że ma rękę zepsutą.

Znów zamilkli wsłuchując się w daleki pociąg, w szum wiatru, w klekot kroków na szosie...

— No cóż — zaczął wielki mężczyzna — taki los. Kaleka i sierota. A wiesz pan, jak to się stało? Ile razy przyjdę na tę stację, to sobie przypominam. Pociągi, takie same pociągi, tylko więcej było nadziei na tę jazdę, więcej chociaż nie jechało się na wesele do Włoch...

To było w roku 1943 w Turkiestanie. Zły rok, chociaż właśnie nadzieja stała przy nas wszystkich. Ale czas zły. Tu, panie, wiadomości o polskim wojsku, a tu zarazem głód, wszy, tyfus. O krok od szczęścia ludzie padali i marli, modląc się o jedno, aby dojechać. Dojechać do swoich, do tego wojska polskiego i dalej do ojczyzny.

Na małej stacji siedziałem, czekając na swój pociąg. Stacja była większa niż ta. Pociągów więcej. Stukały, szurgały przetaczane z miejsca na miejsce. Małe lokomotywy zapierały się jak kuce i targały, a wtedy stukot przeraźliwy szedł od buforów do buforów, od wagonu do wagonu, od platformy do platformy.

Osmoleni kolejarze ze skośnymi oczami biegali po szynach. Krasnoarmiejcy z owijaczami postrzępionymi, z karabinami długimi jak tyki pilnowali wagonów.

Siedzieliśmy na cemencie przed stacją. Lepiej było, wszy mniej, ludzi mniej i bez tego zaduchu, którym napełnione były wszystkie stacje.

Stara Uzbeczka żuła coś, kucając jak połamane ptaszysko. Żołnierz nasunąwszy furażerkę na oczy spał i ja tuż obok patrzyłem jak te wagony bez żadnego pożytku toczą się po szerokiej sieci szyn to tu, to tu.

I wtedy nadeszli oni. Chudy pochylony człowiek i dziecko pięcioletnie.

— Nie bucz, synu — gadał mężczyzna — powiadam ci, nie bucz, niełądnie. A sam miał czerwone oczy i skrzywione gorzko usta. Synek brudniejszy niż wszystkie inne dzieci, któreś pan widział w życiu, chudszy niż możesz sobie pan wyobrazić, ale dziecko. W kubraku po podarte buty, w czapce futrzanej nasuniętej no oczy. Nawet nie umiałbym powiedzieć, jak on wtedy wyglądał. Płakał. Tarł oczy jedną ręką, a drugą trzymał się ojca.

Ojciec spojrzał na nas ponuro i usiadł między mną a Uzbeczką. Syn kucnął obok i dalej płakał.

— Buczysz i buczysz — szeptał ojciec — ludzie patrzą. Pomyślą taki to i Polak, co do wojska chce jechać a płacze.

Mówił po polsku, ale ja się nie przyznawałem, że rozumiem.

— Ja nie chcę jechać — pisnął nagle chłopiec. — Ja chcę do mamy.

Ojciec popatrzył na cofający się pociąg towarowy i nic nie odpowiedział.

— Ja chcę z mamą. Zaprowadź mnie do mamy — prosił chłopak natarczywie.

— Nie marudź — gniewnie odezwał się ojciec. — Ludzie patrzą.

— Oj ty kruszyna — odezwała się piskliwym głosem Uzbeczka — nie płaczże ty biedulo.

I poszperawszy w swoim worku, wyjęła kawałek suchego chleba.

— Na — powiedziała — chleb dobry. Sowiecki chleb najlepszy w świecie.

Chłopiec patrzył nieufnie. Miał jasne włosy opadające na czoło i ciemne oczy jak u myszy, małe okrągłe i przestraszone.

— Na — powtórzyła stara. — Chleb. Chleb na wszystko lekarstwo. Jedz.

Nagle chłopiec wyciągnął rękę i złapał. Właśnie tak, jak przestraszona mysz łapie okruch i ucieka aby zjeść w kącie.

— To pan Polak? — zapytałem ojca. — Do wojska?

— Gdzie tam do wojska — zaśmiał się smutno. — Z takim żołnierzem? — Pokazał na chłopca, który gryzł chleb i ocierał twarz z zaschniętych łez.

— No — zaryzykowałem — synek z mamusią zostanie. Prawda, synku?

— Mamusia pojechała — powiedział mały. — Pojechała do Polski pociągiem — śmiał się już przy tym dumnie trochę. Ojciec za to spojrzał na mnie takim przestraszonym wzrokiem, że nie wiedziałem, panie, co powiedzieć.

— Mamusia pojechała — wołał chłopiec, podniecając się swoimi słowami. — Pociąg zajechał, ot taki pociąg, wielki pociąg. Mamusia pojechała. I my pojedziemy do Polski. Prawda, tato?

Ojciec położył ciemną rękę na czapce syna i odwrócił się od nas. Patrzył gdzieś ponad śpiącym krasnoarmiejcem, gdzieś w stronę stepu i gór, na których jeszcze leżał śnieg.

Kolejarze gwizdali, klęli, pokrzykiwali. Żołnierze przechadzali się wzdłuż zaplombowanych wagonów. Wagony postukiwały, popychane przez sapiące parowoziki.

Z tyłu za nami w budynku stacyjnym szumiało od ludzi, którzy wypełnili go po dach. Leżeli tam na podłogach, koczowali przy swych tłumokach, spożywali chleb z kipiatkom i gadali, gadali, po uzbecku, po kirguzku, po turkmeńsku, po rosyjsku i po polsku. Nad nimi na ścianach sztywno malowane afisze wzywały na wojnę z faszystowskim bandytą, nakazywały czujność i przypominały o dobrym, czułym, wszystkich kochającym ojczulku. Stalinie.

— Słyszałem — powiedziałem do swego siąsiada — że wielu z dziećmi pojechało. Mówił mi plutonowy, który żony w Ługowoje szukał, że dzieci też biorą. Ma być tam taki obóz, czy barak dla rodzin. Mają szkoły organizować. Cóż, nie pozwolą chyba dzieciom wymrzeć

— Ani nam też nie pozwolą — pomyślałem sobie.

— Tato — zawołał chłopiec — mnie się chce ..

— Nie tu, synku — przestraszył się ojciec — idź no za budynek. Idź Kaziu, idź sam.

Chłopiec pobiegł podskakując. Jakto z dziećmi, to płacze, że utulić nie podobna, to już ćwierka jak wróbel. A chleb swoją drogą na wszystko dobre lekarstwo. Tamten chleb, cudowny chleb, którego zawsze brakło.

— Isz biedula — uśmiechnęła się stara Uzbeczka — ptaszek boży. A matka gdzie? Nie żyje?

Ojciec pokiwał głową. Miał twarz skurczoną takim bólem, że odwróciłem się od niego.

— Umarła — powiedział — wczoraj umarła. Sześć dni tutaj czekałem, zabrali ją z gorączką do szpitala tyfusowego. Sześć dni i koniec. Powiedzieli mi że koniec.

— Pogrzebaliście ją? — zapytałem.

— Gdzie? — zawołał — syn za rękę trzyma, nie puszcza. Na trumnę nie ma pieniędzy. Kto tu o trumnie myśli. Pokazali tylko. Leżała w kostnicy a na nodze, na wielkim palcu miała karteczkę. Tyle tylko. Po dziesięciu latach panie. Po latach..., żona.

Mówił po polsku, ale Uzbeczka rozumiała i tak. Kiwała pomarszczoną twarzą jak mądra wszystko wiedząca babka-worożycha.

— Powiedziałem mu, że do Polski pojechała. Co miałem powiedzieć? Co?

— Ona już tam jest — pocieszyłem go. — Nie męczy się na tej przeklętej ziemi.

Co więcej było mówić? Od północy po samo południe, po Morze Aralskie biegły szyny, a przy szynach stacje obok stacji, a na każdej stacji szpital, kostnica i wszędzie nasze trupy leżały tego roku. Wszędzie. On, ja, ty... panie, zdawało się, że wcześniej, czy później dosięgnie... Tylko ta nadzieja, że polska armia niby ojciec, matka, Pan Bóg potężny... Wszystkim ona była dla nas. Nadzieją.

— Ten plutonowy, co żony szukał — powiedziałem — był z Guzaru. Jeszcze dalej na południe. Tam podobno szkoła dla dzieci już jest. Tam nam panie trzeba. Tam pojedziemy.

Kiwnął głową na zgodę, ale oczu nie podniósł.

— A jedliście co dzisiaj? — spytałem go, kiedy zobaczyłem jego oczy, wiedziałem, że nie myślał o tym. Wyciągnąłem swój chleb. Uzbeczka sięgnęła do swego worka. Miała tam lepioszkę i suche szare mleko w kawałach.

— Ech, chlebioc, chlebioc nasz rodnoj — zawołał wesoło żołnierz, budząc się i przeciągając.

— Kazik — krzyknął ojciec — Kazik. A chodź tu, synku.

I nagle usłyszeliśmy rejwach na stacji. Konduktor gwizdał, żołnierze biegli, przetaczany przez stację pociąg towarowy zgrzytał hamulcami.

— Rebionok — ktoś wrzeszczał — Rebionok!

— Djawoł nieszczastnyj!

Ojciec Kazika się zerwał. Ja za nim. Biegliśmy skacząc poprzez tory, roztrącając ludzi, którzy nagle skądś się zjawili przed nami.

— Kazik! — krzyczał ojciec przeraźliwie.

H. ŻURKOWSKA

SPOTKANIE

— Przed zmrokiem powinienem odwalić swoje 25 mil, aby tylko przebić się przez ten najgorszy zator pod Rochesterem i może uda się jeszcze dziś podwiązać pomidory. Jutro? Nie ma co marzyć: wyjeżdżam z miasta o godzinę później. A pojutrze zostajemy z Janką w mieście na wystawie obrazów. Może co sprzeda — tak bym tego chciał. Nawet nie dla zarobku — co to za zarobek parę razy do roku, ale dla ambicji malarskiej Janki. Tak się cieszyła, gdy dostała zawiadomienie, że jej trzy obrazki zostały przyjęte na wystawę. I na dodatek ten projekt ołtarza z Matką Boską Częstochowską. Ten sam, który zrobiła, aby ofiarować kościołkowi wiejskiemu w Highhill i który miejscowy proboszcz odrzucił, jako „smutny, ciemny i obcy... nie nadający się"

Tadeusz zatrzasnął drzwi swego małego wozu, usadowił się wygodnie przy kierownicy i za chwilę mały, szary Morris zaczyna powoli posuwać się wkręcając krok za krokiem w armię kolorowych pudełek, które — koło przy kole — wolno sunie ku mostowi.

— Nużące to coprawda, ale nie narzekam na długą drogę do domu — przeciwnie błogosławię szczęśliwy pomysł przeniesienia się do Highhill. O ile jaśniej, wolniej, swobodniej żyje się na naszym pustkowiu. Zresztą od czasu jak przybył nam Wojtek, życie stało się o wiele łatwiejsze.

Tadeusz czuje się sentymentalnie rozmarzony i prawie ściska Wojtka za kierownicę.

— Poczciwa szkapina. Nigdy nie narzeka, pije nie za dużo, jest posłuszna i zawsze gotowa do usług. Co za ułatwienie życia taki Wojtek!

* * *

— Odbierasz mi chleb — zrzędzi Tadeusz oglądając równo podwiązane krzaczki, rdzewiejące w ukośnie kładącym się słońcu. Janka tryumfująco powiewa białą kartką.

— Czy wiesz, co to jest? Zgadnij!...

— Hm — zastanawia się Tadeusz — list z Ameryki od bogatego wujaszka z czekiem na tysiąc dolarów...

— Prawie. Z czekiem istotnie. Od nieznanego prawie — wujaszka. Nie na tysiąc dolarów, ale na 500 nowych franków francuskich... A za co, zgadnij...

— Co ty wygadujesz?

— Masz, patrz sam! Za projekt ołtarza tak sromotnie odrzuconego przez Father Johnes'a. I do tego, po paru zaledwie dniach tego projektu na wystawie... którą dopiero mam zamiar obejrzeć jutro.

— Fantastycznie. Pokaż-no... Istotnie... W prawdziwym kościele! To jednak coś, lepszego niż jakaś tam wystawa obrazów lub kościołek w zapadłym Highhill.

— To jeszcze nie wszystko, Tadziu, przeczytaj do końca. Czarno na białym: ...kościół będzie ozdobiony pracami Cocteau i ja! Duma mnie chyba zadusi. A nie ma już ani pomidorów do podwiązania, ani w ogóle nic do roboty, bo kolację mam już gotową od dwu godzin, a w przerwie przeleciałam się do miasteczka po zakupy i przyszyłam wszystkie „zaległe" guziki...

— Odrabiasz stare grzechy...

— To ze szczęścia. Radość nie daje mi spocząć. A przy tym jestem spłoszona. Jeszcze tego nie przemyślałam do końca.

* * *

— Czemu się kręcisz? Śpij już. Jutro musimy wstać wcześniej, jedziemy do miasta oboje.

— Nie mogę spać — myślę. Myślę, że aby odwdzięczyć się losowi, powinnam coś ofiarować ze siebie za to, co niezasłużenie otrzymałam.

— Co za nonsens. Dlaczego „niezasłużenie"? Przecież pomysł był twój, wykonanie twoje. I nawet pierwsze niepowodzenie i rozczarowanie musiałaś sama przeżyć. Więc skąd „niezasłużenie"?

— O, to stara historia...

— Już wiem. Zaczyna się: ...kiedy byłam w obozie...

— Jakbyś zgadł: Kiedy byłam w obozie, westchnęłam kiedyś do Boga, że jak mnie z tych tarapatów wyprowadzi, uczynię coś... coś co będzie dla każdego pożyteczne, a ja nie będę miała z tego żadnej korzyści. To będzie moja jakby zapłata za to ocalenie, wyrównanie rachunku. Ale jak się zaczęło to moje kwękanie londyńskie, operacje i te wszystkie nasze kłopoty — upewniałam się powoli, że mój ślub nie da się zrealizować. Rozgrzeszyłam siebie, a nawet właściwie zapomniałam o nim ostatnimi laty. Cała moja packanina i garncarstwo późniejsze — to było dla siebie.

— I słusznie. Uczyłaś się żyć i pracować bez przymusu. Doskonaliłaś się. Wracałaś do życia, czy to mało?

— Nie. Ale tu chodzi o co innego. Oczywiście ozdrowiałam. I tak i inaczej. Ale gdy pracowałam nad ołtarzem, robiłam to z jakimś, może nieuświadowionym, uczuciem dopełnienia zobowiązania. Teraz, kiedy wiem, że ołtarz ten stanie, że liczni ludzie będą się przed nim modlić, że będzie im on potrzebny, że im poniekąd narzuciłam moją wizję Bóstwa — zaczynają mną miotać sprzeczne uczucia. Czy miałam prawo to zrobić, ja, która wykręciłam się od wypełnienia ślubu... A jeżeli ołtarz ma być przyjęty jako to wypełnienie ślubu, to jakie mam prawo być za niego raz jeszcze nagradzana — pieniężnie?

— Jeżeli ta podświadomość, o której wspominałaś nie upawniła cię, że dzieło twe jest wypełnieniem ślubu — może w ten sposób zostawia ci drogę do spełnienia go. Jestem prosty chłop w rozwiązywaniu delikatnych zawiłości

(dokończenie obok)

Byłem słaby, każdy był tam słaby, ale jak kto ma takie duże kości do dźwigania a skórkę chleba do jedzenia, to biegać nie potrafi, panie. On mnie wyprzedził, Kiedy dobiegłem do niego szedł już z powrotem. Ludzie przy nim gadali, gardłowali. Kolejarze, żołnierze, oberwani cywile.

On szedł trzymając na rękach dziecko, któremu spadła z głowy czapka i jasne włosy sypały się od białego jak śnieg czoła.

Wiadziałem już jak jedna ręka zwisa pokręcona niby postronek. Połamana.

Ten chłopak, panie nie płakał, patrzył na nas przerażonymi oczkami i krzywił się z bólu, ale nie płakał.

— Coś ty zrobił, synu? Narzekał ojciec — coś ty zrobił.

— Ja do mamusi — szepnął Kazik. — Do mamusi, do Polski. Mamusia pojechała pociągiem — wytłumaczył.

— Pojedziemy, synku — zawołał ojciec — przysięgam ci że pojedziemy.

Widziałem że po jego chudej twarzy lecą łzy. Odwróciłem się, bo, panie, też miałem mokro pod oczyma.

— No i cóż więcej — starszy pan westchnął — cóż dalej? Lekarzy tam nie było na zawołanie, rączka źle się zrosła. Został takim, kaleką, jak to pan nazywa.

— Ja nie, ja nie — spłoszył się mały pan. — A co się z ojcem stało?

— Poszedł do wojska. Razem byliśmy w tym wojsku chociaż nie w tym samym oddziele. Był żołnierzem, zginął w bitwie. Przysięgi nie wykonał. Nie jego wina. Mnie przyszło się opiekować Kazikiem.

— Takie małe dziecko — zastanawiał się mniejszy pan — taki mały i już rozumiał, do Polski chciał jechać...

— Dwadzieścia lat temu, panie, może to nawet rocznica? Kto by pomyślał, że taki szmat życia nam zejdzie, a ciągle na tej stacji, ciągle czekając na ten jeden pociąg. Ot, przychodzę tu często. Cicho tu i spokojnie. Czasem gdy przyjedzie lokomotywa z południa, gdy zaczną wekslować, a przetaczać, gwizdać, pokrzykiwać, to myślę o tamtej stacji.

— Przyjedzie i nasz pociąg.

— Nie panie. Pociągi całego świata nie starczą na naszą biedę, na naszą krzywdę. Pociągi całego świata nie starczą.

Gdzieś między górami daleko już pociąg idący na południe zahuczał, odezwał się i echem na wietrze dał raz jeszcze znać o sobie.

B.D.I.C

duszy, ale na twoim miejscu nie przeżywałbym tego tak tragicznie. Po prostu uznałbym, że Opatrzność, zawsze wyrozumiała i pełna dobroci wobec słabości ludzkiej, chce zdyskontować twoje, niegdyś złożone przyrzeczenie. Przychodzi ci więc z pomocą, abyś ślub swój najpełniej i najlepiej wypełniła.

— Jak to rozumiesz?

— Tak po prostu: do tego czeku, któryś otrzymała, dodam ci dwa razy tyle — to moja cichcem, ukryta przed tobą sumka, przeznaczona na wakacje dla ciebie — i pojedzie sobie moja pani, gdzie zechce w świat, na tak długo, na jak długo jej starczy, z tym, że po pewnym czasie wesprę ją raz jeszcze taką samą sumą.

— Tadziku, skarbie, nie wiesz, co mówisz. Sądzisz, że ja — po za wszystkim — zgodzę się zostawić Cię tu tak w samotności, z całą robotą na karku. Nie będziesz, przecie, miał do kogo ust otworzyć, gdy wrócisz po pracy do domu.

— Jużeś się zgodziła. Już myślisz jak najlepiej wszystko urządzić, abym się nie zatęsknił na śmierć...

— Nie. Nie. To niemożliwe. Nie damy sobie rady z długami przez kupę lat. Choć nie przeczę, że perspektywa zobaczenia fresków Giotta w Assyżu, lub prymitywów w Sienie jest wprost upajająca. To twoje kuszenie wprost postawiło mi tą możliwość natychmiast przed oczami... A może zrobimy to połowicznie? Pojedziemy oboje na trzy tygodnie wakacji do Włoch. Tak. To jest w granicach możliwości. Tak będzie najlepiej..

— Nie. To nie zda się na nic. Nie wypełnisz ślubu. Nie nauczysz się przez te parę tygodni niczego. Nie zrodzi się z tego żaden pomysł. I nie będzie czasu na żadne — nawet zapoczątkowanie zamyślonego dzieła, nie mówiąc już o wykonaniu. Musisz być nie związana czasem, nie spętana tym najprymitywniejszym niedostatkiem. Powtarzam: Opatrzność chce cię wykorzystać w pełni twych możliwości, domaga się wypełnienia ślubu.

— Muszę to przemyśleć w samotności.

— Zrób to. Ale w ciągu następnych paru dni. Nie . Zostaw tę noc na wypoczynek. Musimy już spać.

* * *

Olbrzymi Neptun leniwie rozciągnął się nad wątłą strużką fontanny. Rozprażone sierpniowym upałem powietrze zaskakuje chciwie za kolumny, aby się zrównoważyć we względnym chłodku cienia. Liczne sale muzeum na Kapitolu przyciągają nigdzie indziej nie spotykaną pustką. Tłumne wycieczki oblegają Colosseum i ruiny starożytnego Rzymu, przebiegają wnętrza kościołów, oplatają niewiędnącym wianuszkiem fontannę Trevi, biwakują przed świętym Piotrem, wypełniają Panteon. Wszędzie tam strzelają aparaty, wybiegają wciąż te same okrzyki podziwu wyrażane we wszystkich językach świata, wciąż te same dyskretne westchnienia na zmęczenie i upał.

Muzeum przyciąga nielicznych. Jest ich prawie tyle, ile służby pilnującej skarbów tam zgromadzonych. Jankę znają już strażnicy. Trochę im zawadza w słodkiej sjeście upalnych dni i dawno już się wie, że na tym codziennym gościu nie zarobi się ani lira. Zaopatrzona w notatnik, przysiada byle gdzie i zapada w kontemplację finezji Veronese'a, mięsistej gadatliwości, czy zmysłowej obfitości Rubensa. Ale najbardziej chyba pobudzają ją do rozmyślań natchnione ascezy Tintoretta. Zamyka oczy i łączy, przeplata wizje mistrzów, nakłada jedno rozwiązanie na drugie, odejmuje szczegóły, przyciemnia, lub rozjaśnia, aż skłębi się wszystko w kalejdoskop migotliwy i w końcu rozwieje. To co zostaje w wyobraźni jest już własną koncepcją, własnym przeżyciem... Sny artysty nie są bezpłodne. Rodzi się z nich wizja, która ożywa potem na płótnie.

Notatnik pęcznieje. Większość kartek wypełniają freski Giotta i Lorenzetti'ego z Asyżu i klejnoty Rawenny: mozaiki ze Św. Vitalisa i dwu kościołów Św. Apolinarego — Nowego i Bazyliki. Podbudowane bogactwem galerii Pittich i Uffici florenckich, oraz wczesnych malowideł Pinacoteki Sienneńskiej dają one bardzo solidnie przestudiowaną znajomość sztuki religijnej.

Jakieś kroki powoli idą ku Jance, zbliżają się, przystają.

„Niech-tam, nie otworzę oczu — myśli Janka. — Pomyśli sobie, że wariatka tylko może spać przed takim arcydziełem — i pójdzie sobie".

Ale cisza trwa zadługo. Janka powoli otwiera oczy. Stoi przed nią jakiś starszy pan, dość otyły, czarno ubrany.

„Jaka znajoma twarz — myśli Janka. — Skąd go znam? Gdzie go widziałam?"

A pan patrzy na Jankę rozbawionym, prawie szelmowskim spojrzeniem, potem na jej tekę, a potem znowu prosto w oczy. Janka czuje się obezwładniona tym spojrzeniem, jakby przebiegło przez całe jej ciało promienie Roentgena. Ma uczucie, że jest rozszyfrowana bez najmniejszego wysiłku i na wylot widoczna, odsłonięta ze wszystkich tajemnic.

Pan mówi piękną francuszczyzną z lekkim nalotem włoskiego akcentu. Nie pyta o nic, ale zwraca się do Janki od razu przez „ty". I bez zastanowienia, bez szemrania Janka przyjmuje to jako coś naturalnego.

— Pokaż-no, dziecko, te twoje szkice. Nie. Nie tylko te z Kapitolu, ale i te które robiłaś gdzie indziej. Interesujesz się, jak widzę, sztuką kościelną. Czy ci to do czegoś specjalnie potrzebne? Aha. To bardzo dobre. Powtórzyłaś temat, ale interpretacja jest bardzo delikatna — no i twoje dodatki nie psują całości. Naturalnie, jak zechcesz rozwinąć je i dodasz coś jeszcze od siebie, będzie to zupełnie inny obraz, poczęty z natchnienia tego Caravaggio. Przez długie wieki geniusz jednego artysty był natchnieniem dla innych. Nie trzeba się tego wstydzić. Ale. Mam u siebie parę obrazów tego artysty, no i kilka innych, które by ci się na pewno podobały. Niestety nie są one wystawione na widok publiczny, ale wielu przyjaciół już je widziało, a nawet zrobiono zdjęcia i szkice... Czy miałabyś ochotę im się przyjrzeć?

Myśli Janki skłębiają się w popłochu. — Kto to jest? Kto może posiadać bezcenne muzealne dzieła sztuki „u siebie"? Ot tak, jak parę obrazków kupionych w sklepie ze starzyzną za parę groszy? I skąd we mnie to poddanie się jego autorytetowi natychmiastowe i prawie bezwiedne? I na twarz .. twarz, którą się zna. Cudzoziemiec... Włoch zapewne... A ja jestem pierwszy raz w życiu we Włoszech.

Lecz zaufanie, jakie wzbudza cudzoziemiec jest tak spontaniczne i kompletne, że Janka zgadza się, bez chwili wahania, z radosnym uniesieniem, na obejrzenie obrazów. Dokąd ma przyjść i kiedy?

Dobroduszny pan uśmiecha się, wyraźnie ubawiony.

— Zaraz Ci powiem, ale tymczasem powiedz mi coś o sobie. Z jakiego kraju pochodzisz? Widzę, że Słowianka. Tylko Słowianki mają tę miękkość w spojrzeniu, która je predystynuje jako przyszłe matki.

Bolesny skurcz na twarzy kobiety każe mu się zatrzymać:

— Nie wszystkie predystynowane są obdarzone łaską. Pan Bóg wynagradza je w inny sposób... na przykład... na przykład talentem. Błogosławię twój talent moje dziecko.

Jakieś hałasy przerywają nagle to przemówienie, Tupot wielu nóg, gwar podnieconych głosów, niezwykły w przedpołudniowej rozgrzanej pustce muzeum.

Starszy pan się stropił: „Już mnie wykryli. Zaraz tu wpadną. Koniec z ciszą i spokojem. Zanim nadbiegną, powtarzam ci zaproszenie: przyjdź jutro, pojutrze, kiedy zechcesz do Watykanu. Powiesz, że sam cię zaprosiłem, abyś obejrzała moje prywatne zbiory..."

H. Żurkowska

JAK OKIEŁZAĆ POTWORA?

Hamulec, sprzęgło; sprzęgło, hamulec — odrobina gazu i znów to samo. Ciągle na pierwszym biegu. Wzrok utkwiony w znak rejestracyjny wozu przed tobą. Próbuję żartować. Zwracam się do towarzysza i mówię, że to będzie zabawne gdy któregoś dnia cały ruch w mieście zamrozi się w jednym ogromnym zatorze i ludzie zaczną znowu chodzić na piechotę.

Żeby żartować trzeba mieć słuchacza. Mój towarzysz nie chce żartów. Siedzi nieruchomo, pali papierosa i spogląda na zegarek. To mój kolega; zawsze uczynny, zawsze uśmiechnięty. Nie poznaję go dzisiaj. Wieje od niego chłodem. Dlatego, że chciałem mu wyświadczyć przysługę. Nie napraszał się, nie przymawiał. Sam mu zaproponowałem. Powiedziałem: jadę w pana stronę, więc chętnie podwiozę. Na pewno będzie szybciej niż autobusem.

Powinno być szybciej. Nie trzeba iść na przystanek, nie trzeba czekać, nie trzeba stawać na dalszych przystankach. Nie trzeba się przesiadać, by wreszcie dobrnąć na stację kolejki podziemnej, przejść przez kasy, przez ruchome schody, coraz niżej w czeluście ziemi, by wreszcie dostać się na peron, z peronu do pociągu, który wysadzi mego kolegę gdzieś na dalekim przedmieściu. Tam stanie w ogonku do jeszcze jednego autobusu, przejedzie jeszcze kilometr lub dwa i po nowym kilometrze pieszego marszu dotrze znużony do domowych pieleszy. Nie trzeba tego wszystkiego. Starczy zasiąść za kierownicą, nacisnąć starter, sprawdzić światła: dwa ruchy nogą i dwa ruchy ręką i już jesteś w drodze bez przystawania, bez czekania, wolny jak ptak i niezależny od nikogo. Jedziesz którędy chcesz. Znudziły ci się te ulice, wybierz inną drogę...

Samochód. Wielkie słowo. Ileż w nim treści. Człowiek czuje się pewniejszy siebie, bardziej niezależny. Odległość? Przejazd? Zmęczenie podróżą? Cóż to mnie obchodzi. Ja mam samochód. Mogę nim zawędrować na wakacje do Grecji i skoczyć szybko po papierosy do kiosku. Nie jestem przywiązany jak pies za nogę do swojej dzielnicy, do swego mieszkania, do swojego miejsca pracy.

To wszystko prawda. Gdybyż jednak tych samych uczuć miłości do samochodu nie dzieliły ze mną miliony innych zjadaczy chleba. Niestety nie ja jeden jadę samochodem w mroczny jesienny wieczór długimi ulicami wielkomiejskimi z pracy do domu. Na ten sam pomysł wpadają miliony bliźnich. Rusza się to wszystko i krąży jak żuki po ulicach i po szosach, co bardzo zabawnie wygląda z nisko lecącego samolotu, lecz wcale nie jest zabawne, gdy jesteś jednym z tych żuków, unieruchomionym w kolejce innych żuków, w którymś z niezliczonych zatorów wielkomiejskich.

Siedzę właśnie w takim zatorze a obok mnie kolega, któremu chciałem oddać przysługę. Siedzi wściekły. Gdyby nie moja usłużność byłby już w domu. Uściskał by żonę, pożartował z dziećmi, zdjął buty, włożył pantofle i zasiadł przed telewizją w błogim oczekiwaniu na kolację. A tak, siedzi koło mnie i czeka aż ruszymy naprzód. Łydki cierpną mi od nerwowego napięcia, nie ważę się zdjąć nogi ze sprzęgła, nie ważę się zsunąć drugiej z gazu. Bo trzeba być w pogotowiu. Bo, a nuż, ruszymy. Nie ruszamy. Zator. Prawidłowy regularny zator. Gdzie, w którym miejscu? To, obojętne. Obojętne gdzieby się znalazł o tej godzinie, czy w tej czy w innej stolicy. Wszędzie byłby zator. Tylko inaczej się nazywa. W Paryżu: „embouteillage". Świetna nazwa. „Zabutelkowanie". Utkwiłeś jak korek w szyjce butelki. W Rzymie powiedzą „congestione" co brzmi pięknie zwłaszcza gdy słowo wypowiesz z odpowiednim gestem. W Londynie musi ci starczyć krótkie słowo „jam". Czy ma coś wspólnego z „dżemem", niesłusznie zwanym w Polsce marmeladą? Owszem, jak najbardziej. I „dżem" w słoiku i „jam" na ulicy to wynik stłoczenia, zgniecenia. Więc „jam" samochodowy to zwykły „gniot". Tak by go można było nazwać, gdybyśmy już sobie nie upatrzyli innego słowa na określenie zatoru. Jest nim „korek".

Wóz przede mną drgnął nagle, ruszył z miejsca, przyhamował jakby z przyzwyczajenia i raźno potoczył się naprzód. Ja za nim. Nie wierzę jeszcze własnemu szczęściu. Ostrożnie dodaję gazu. Strzałka na liczniku wędruje w górę — z dumą naciskam sprzęgło; lecz inaczej, zawiadiacko, z pewnością siebie, z zadowoleniem; nie po to by zwolnić, lecz by przejść na „dwójkę". Nareszcie! Czuję się jak po wyrwaniu zęba, po przebudzeniu ze snu pełnego zmór i strachów, jak w przeddzień wakacji, jak po egzaminie. Ustało gniecenie w dołku, ot, tam z lewej strony, gdzie u starszawych panów odzywają się nieomylne sygnały wrzodu na dwunastnicy. „Widzi pan — mówię do towarzysza — nie jest tak źle, jak się człowiek przedostanie przez tamto skrzyżowanie to już się jedzie"... i z triumfem włączam „trójkę".

Oczywiście — zgadza się towarzysz — jedzie się. Do następnego zatoru.

Mój towarzysz nazywa się McGregor. Leslie McGregor. Więc Szkot z nazwiska i z imienia. Złości mnie jego gderliwość. „Pesymista" — myślę ze złością. Nie lubię pesymistów. Zwłaszcza gdy mają rację. Ma rację, nich go cholera... Zielone światła kuszą i wabią zachęcająco. Sześć wozów przede mną. Przeskoczył jeden, drugi, trzeci... i już mam nogę na hamulcu bo zieleń nadziei zamienia się w żółty kolor ostrzeżenia i za chwilę już czerwone: stop. Stoimy.

— Stoimy — stwierdza McGregor. Milczę, bo niby o co chodzi? Światła to nie zator. Zaraz się zmienią. Pojedziemy dalej. Byle się dostać na Hammersmith Flyover. Dostaliśmy się. Suniemy gładko. „Pięćdziesiąttrzy minuty" — powiada McGregor. Rzeczywiście. Pięćdziesiąttrzy minuty ze śródmieścia Londynu na zachodnią arterię wylotową. „To wyjątkowo" — mówię bez przekonania.

Dojechaliśmy wreszcie. Zboczyłem trochę by odwieść McGregora pod sam dom. Ożywił się i podziękował za podwiezienie. Zaprosił na chwilę. Trudno odmówić. Pani McGregor okazała się młodą i miłą osobą. Rozmowa — oczywiście o samochodach. Ściślej, o problemie samochodowym. Jest to temat ulubiony w Anglii. Zwłaszcza w Londynie. Londyn jest w wyjątkowo trudnej sytuacji. Wozów przybywa rocznie około dwustu tysięcy. Już dzisiaj wypada jeden samochód na dwadzieścia metrów bieżni ulicznej. W całej Wielkiej Brytanii jeden samochód na 7 mieszkańców, lecz w Londynie jeden na trzech i pół. W dodatku Londyn nie składa się z jednego miasta lecz z kilkudziesięciu, z których każde powstawało na swój sposób. Więc nie jedno śródmieście i nie jedno stłoczenie, lecz kilkadziesiąt punktów, w których powstają zatory. Więc coś trzeba zrobić. Ale co?

Pytanie nie schodzi z łamów gazet, z telewizji i z radia. Coś trzeba zrobić. Robi się dużo. Naprzykład ten Hammersmith Flyover. Zbudowano go jako arterię wylotową skracającą czas jazdy na lotnisko. Zbudowano pięknie nad ulicami i nad dachami domów. Wygodna autostrada wsparta na betonowych słupach-dźwigarach. Dzięki niej przejazd na lotnisko trwa około czterdziestu minut, zamiast, jak dawniej, godziny z okładem. Lecz zanim ukończono budowę już było wiadome, że nowa arteria będzie miała zbyt mały przepust. Więc buduje się dalej. Nad ziemią i pod ziemią. „Nie mogę poznać Londynu" — narzekał znajomy po trzyletnim pobycie w Australii — „takie Marble Arch i Hyde Park Corner to już tylko znajome nazwy. Wszystko przeorali, przekopali, poszerzyli. Mijanki, przepusty, szlaki jednokierunkowe". Każdym płynie nieprzerwana ława samochodów. Płynie szybko i sprawnie by zakorkować się na dalszych ulicach. Z jazdą to jeszcze nie tak źle. Gorzej z parkowaniem. Możesz jechać, nie możesz się zatrzymać. „Musimy okiełzać potwora, którego otaczamy miłością" — napisał profesor Colin Buchanan, przewodniczący komisji studiów nad ruchem wielkomiejskim. Projekty wielkie i dalekosiężne. Całkowita przebudowa miasta tak by odłączyć ruch samochodowy od pieszego. Wyodrębni się dzielnice sklepowe i zabytkowe. Tam nie będzie w ogóle ruchu kołowego. W innym dopuszczalny będzie tylko transport publiczny. A w pozostałych mają powstać ulice dwu lub trzy — poziomowe. „Jedno jest pewne — mówi pani McGregor — samochodów będzie coraz więcej. Nikt się nie wyrzeknie samochodu".

Na pewno nikt się nie wyrzeknie — przytakuję gorąco, wtórując milionom Anglików, Francuzów, Włochów czy Belgów. Żadne zatory i korki nie odstręczą ludzi od kierownicy. „Zna pan ten odcinek szosy na Riwierze między Villefranche po francuskiej stronie i Bordighera po włoskiej — odzywa się niespodzianie pan McGregor". „Znam — mówię — za Bordighera zaczynają się te pola goździków po lewej stronie szosy do Genui". „Właśnie — nich pan się nie przejmuje zatorem na Cromwell Road. W zeszłym roku z Villefranche do Mentony, to chyba ze dwadzieścia kilometrów jechałem prawie cztery godziny. To był dopiero zator..."

Pan ma wóz — dziwię się — nigdy pan nie przyjeżdża nim do pracy...?

Do pracy wozem? Poco. Znacznie szybciej kolejką. Poza tym w mieście wóz się niszczy. Ciągle „hamulec-sprzęgło, sprzęgło-hamulec". Nie, nasz wóz stoi sobie spokojnie i czeka na „weekend", na wycieczkę nad morze. Albo na wakacje...

— Do Szkocji? — zapytałem ironicznie.

Roześmieli się oboje serdecznie. Nic tak Szkotów nie cieszy jak podejrzenie ich o skąpstwo.

J. P. Herwarth

(Za zezwoleniem Rozgłośni Polskiej RWE)

DOKUMENTY CHWILI

Wyszedł spod prasy ZESZYT II. • 356 stron druku.

Zawiera 16 dokumentów, nieodzownych dla zrozumienia obecnej fazy w konflikcie, który rozsadza międzynarodowy ruch komunistyczny. Dokumentacja sowiecka, chińska, albańska i jugosłowiańska. Wstęp pt. „Koniec monolitu" pióra Adama CIOŁKOSZA

Cena 22 sh., 15 NF, 3 dol. Wysyłają „GRYF" PUBLICATIONS LTD., 171, Battersea Church Road, LONDON, S.W. 11 — po otrzymaniu należności.

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

WYBORY ZA DWA LATA

(Dokończenie ze str. 1)

dów kwotą 294.820 złotych Polski Niepodległej — 14.741 funtów. Zawiera. wstosunku do poprzedniego, dwie tylko nowe pozycje, mianowicie 35 funtów miesięcznie na utrzymanie lokalu Rady Trzech oraz 250 funtów rocznie na częściowy zwrot kosztów przejazdu na posiedzenia członków RJN, mieszkających poza Londynem. Referent wnosi imieniem komisji o uchwalenie przedłożenia. Kierownik działu Skarbowego EZN, K. Sabbat (NGS), referując wykonanie budżetu za rok ubiegły, stwierdził, że został wykonany w 72 proc., zamykając się kwotą 10.735 funtów, z czego na akcję zewnętrzną zużyto 61.2 proc. Na przyszłe wybory przeznacza się w budżetach po 250 funtów rocznie. Nastąpiła dyskusja, w której zabierali głos pp. Teresa Affeltowicz (Kiub Społ.), A.Jakubowicz (S.P.), W.Martin (niezależny), S.Górka (PPS) E.Sojka (S.N.), H.Czarnocka (niezależna), Z.Sterm iński (niezależny), J.Kazimierczak (PPS), Z.Szadkowski (Klub Społeczny), K.Sabbat.

W głosowaniu budżet na rok 1964/65 został uchwalony przez Radę jednomyślnie.

ZŁUDY ODPRĘŻENIA Z SOWIETAMI

Analizę sytuacji światowej rozpoczął kierownik działu zagranicznego EZN min. dr.J. Starzewski od stwierdzenia, że mimo złudne nastroje odprężenia między Zachodem a komunizmem — wyścig zbrojeń trwa w dalszym ciągu. Cechy przejściowości w polityce światowej wynikają ze zmiany na stanowisku Prezydenta Stanów Zj. oraz okresu przedwyborczego w obu mocarstwach anglosaskich, co skłania do odraczania decyzji i wyolbrzymiania osiągnięć dyplomatycznych w stosunkach z Rosją, z którą zawarto ostatnio szereg wątpliwej wartości układów. Optymizm zachodni wypływa też z trudności, przed którymi stanęła Moskwa, a którym nadaje się na Zachodzie przesadne czasem znaczenie. Prócz na kryzys gospodarczy, wskazuje się przede wszystkim na konflikt rosyjsko--chiński, który rozważając nie należy pomijać spoidła komunistycznego, łączącego oba reżymy; rywalizacja ich w świecie może też prowadzić raczej do zaostrzenia wspólnej walki rewolucyjnej przeciw narodom wolnym. Moskwa będzie też skrępowana w koegzystencji z Zachodem, a zagrożenie ZSSR ze strony Chińskiej Republiki Ludowej nie może być teraz poważnie brane pod uwagę, wobec zbyt dużej różnicy potencjału przemysłowo-wojennego na korzyść Rosji.

Omówiwszy zmiany w łonie obozu zachodniego, wynikłe na tle m. in. odejścia szeregu czołowych mężów stanu, jak Macmillan, Adenauer oraz śmierci prez. Kennedy i premiera Nehru, min. Starzewski charakteryzuje politykę amerykańską, zarysowaną po przedstawieniu Białemu Domowi postulatów w sprawie polskiej Kongresu Polonii. Mówca dopatruje się w niej „zawiązku koncepcji, która powinna być realizowana w interesie uciśnionych narodów, a nie narzuconych reżymów. Domagamy się stanowczo aktywności Zahodu, nadania konkretnej treści zapowiedziom Stanów ZJ. oraz wyraźnego ich nacisku na Rosję Sowiecką".

WOBEC PROBLEMU NIEMIECKIEGO

Przeszedłszy do problemu niemieckiego, mówca oświadczył:

Rozwiązanie sprawy niemieckiej zawierać zatem winno następujące elementy: 1) uzyskanie ostatecznego formalnego zatwierdzenia granicy na Odrze i Nysie, 2) uwolnienie całej Polski i jej sąsiadów spod okupacji i jednostronnej zależno'ci od Rosji sowieckiej, 3) utrzymanie ograniczenia zbrojeń Niemiec, 4) utrwalenie i wzmocnienie związków łączących Niemcy z Zachodem.

Jeżeli warunki te zajdą, to będziemy mogli wycofać nasze zastrzeżenia dotyczące zjednoczenia Niemiec w drodze demokratycznej autodeterminacji.

Stanowisko polskie wobec Niemiec jest zatem zupełnie jasne. Nie możemy i nie zamierzamy zapomnieć o przeszłości. Nie chcemy jednak, by fatalna ta przeszłość wytworzyła na zawsze przepaść mirdzy obu sąsiednimi narodami. Mamy głębokie poczucie wspólności z zachodnią cywilizacją oraz zagrożenia ze strony Rosji sowieckiej, Mamy świadomość, że rosnące możliwości powstania związku europejskego mogą wytworzyć nowe perspektywy w stosunkach polsko-niemieckich. Lecz stoimy wraz z całym narodem niezachwianie i bezwarunkowo na gruncie nienaruszalności obecnej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej".

W trzeciej częściswego przemowienia min. Starzewski omówił **położenie Kościoła w Polsce**, po czym zakończył omówieniem zadań, jakie z ogólnej sytuacji — zarówno międzynarodowej jak i ściśle krajowej — wynikają dla nas i będą przez Egzekutywę podejmowane.

W dyskusji, jako pierwszy zabrał głos min. Z.Berezowski (Stron. Nar.) którego myśli przewodnie streściliśmy na wstępie, dalej K.Trębicki (Liga Niep.), który odcinając niepodległościowe ujęcie tej sprawy od komunistycznego i uznając potrzebę kontaktów z NRF — podkreślał nieodzowność akceptacji ze strony niemieckiej granicy Odry i Nysy Łuż., jako warunku wstępnego; Z.Sterm iński (niezależny) wskazał w częściowej polemice z przedmówcami, że nie tylko Ameryka, lecz także Francja zbyt optymistycznie patrzy na rzekomy rozkład komunistycznego „monolitu" oraz podkreślił, że sprawa nasza, będąc europejską, jest w dzisiejszej sytuacji również światową. Ponadto, przemawiał krótko S.Załęski (Str. Nar.) i odpowiadali imieniem EZN, prezes A.Ciołkosz i min. dr.Starzewski.

AMBASADA I AMBASADOR RP PRZY STOLICY APOSTOLSKIEJ

Na zakończenie rozprawy nad sprawami międzynarodowymi RJN uchwaliła jadnomyślnie dwa wnioski, przedstawone przez EZN.

Pierwszy z nich brzmi:

„Rada Jedności Narodowej wyraża przekonanie, że nieprzerwane istnienie Ambasady R.P. przy Stolicy Apostolskiej jest wyrazem uznania słuszności dążeń narodu polskiego do odzyskania niepodległości.

RJN stwierdza, że naród polski docenia doniosłość utrzymywania niezależnej Ambasady przy Watykanie i że jest za to głęboko wdzięczny Stolicy Apostolskiej.

Ten stan rzeczy jest oczywistym dowodem zrozumienia ducha narodu polskiego, nieugiętego w walce o wolność i ideały chrześcijańskie, którym był i jest wierny w ciągu tysiąclecia swych dziejów".

Po wtóre postanowiono wysłać następującą depeszę:

„W 25-lecie objęcia przez Ambasadora Kazimierza Papee kierownictwa Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej przy Watykanie Rada Jedności wyraża Mu pełne uznanie za niestrudzoną pracę w służbie niepodległej Polski i składa Mu gorące życzenia w chwili tak rzadkiej rocznicy".

Na tym przew. dr.T.Bielecki zamknął kilkogodzinne obrady.

PIĘKNY GEST

Dla uczczenia pamięci ś.p. Witalisa Raginisa b. członka P.O.W.N. w Montlucon, zmarłego 6.5.1964 — Jan Małecki skada zamiast kwiatów na trumnę 9 Fr. na Liceum w Les Ageux.

Doskonale redagowane pismo dzięki swemu dyrektorowi, prof. Teodorowi Domaradzkiemu, będącemu jednocześnie dyrektorem Instytutu Nauk Słowiańskich i Europy Wschodniej, daje w swoim ostatnim numerze z jesieni i zimy 1963 r. kilka bardzo ciekawych większych i mniejszych artykułów, z których wiele dotyczy pośrednio lub bezpośrednio kwestii polskich. Mamy więc najpierw angielski artykuł-studium, niezbyt długi, p. Dawida Welsh o „Odprawie Posłów Greckich" Kochanowskiego (Rhetorical Principles in Kochanowski's „Dismisal of Grecian Envoys"). Nie przynosi on nic nowego polskiemu czytelnikowi, ale rzetelnie opracowany na podstawie polskich źródeł (Julian Krzyżanowski, Ignacy Chrzanowski, Al. Brückner, Wł. Strzelecki etc.) i obcych może zaznajomić amerykańskiego i angielskiego czytelnika z XVI wiekiem w Polsce.

Drugim czysto polskim z odcieniem słowiańskim artykułem jest obszerna i subtelną analizą poematu Cypriana Norwida: „Pieśń od ziemi naszej". przez prof. Teodora Domaradzkiego, po francusku z tekstem podanym w tłumaczeniu i po polsku w oryginale. Prof. Domaradzki, wielki „norwidysta", żywi specjalny kult dla tego poety i nie po raz pierwszy analizuje poezje jego, zarówno filozoficzno-polityczne i patriotyczne, jak i inne o natchnieniu religijnym. Te ostatnie mogą pociągać go specjalnie, gdyż sam jest gorącym katolikiem, mocno związanym z Rzymem, gdzie kształcił się, a później pracował naukowo od roku 1941, wykładając najpierw na uniwersytecie rzymskim, a potem w Instytucie Pontyfikalnym Nauk Wschodnich, a jednocześnie organizując tajne liceum polskie w Rzymie. W r. 1947 wyjechał do USA, gdzie wykładał w słynnym uniwersytecie Fordham, wreszcie w r. 1948 prof. Oskar Halecki wprowadził go do uniwersytetu w Montreal w Kanadzie. Na tym, że jest profesorem i dyrektorem Centrum Nauk Słowiańskich, nie ogranicza się działalność prof. Domaradzkiego, starał się on bowiem i stara o zorganizowanie podobnych centrów w rozmaitych uniwersytetach Kanady i Ameryki Południowej, nie zapominając przy tym nigdy, aby stworzyć w tych ramach i katedrę polską. Oceniając zasługi prof. Domaradzkiego, Papież Pa-

MARYA KASTERSKA

Studia Słowiańskie i Wschodniej Europy

weł VI obdarzył uczonego polskiego wysokim odznaczeniem Orderu św. Grzegorza Wielkiego.

Poza artykułami bezpośrednio polskimi i paroma notatkami o ostatnich wydawnictwach polskich i o Polsce, znajdujemy w tym numerze trzy bardzo dobre artykuły na tematy rosyjskie, pośrednio dotyczące i Polski.

Pierwszy z nich o listach księcia Kurbskiego do Iwana Groźnego przez panią Walerię A. Tumins, mówi nam o pewnym rodzaju pojedynku listownego pomiędzy strasznym carem, a uciekinierem, który uciekł do Polski. Car Iwan IV, który był synem Wasyla III i Heleny Glińskiej, synowicy Michała, faworyta króla Aleksandra Jagiellończyka, dzielnego wojownika, ale zdrajcy, co za Zygmunta Starego uciekł do Moskwy, a potem chciał uciec do Polski, lecz uwięziono go i oślepiono), był człowiekiem zdolnym i inteligentnym, choć okrutnikiem, ale edukacja jego była dość ograniczona, podczas gdy kniaź Kurbski posiadał pewne wykształcenie europejskie. W korespondencji z carem od 1564 do 1579 r. w swoich pięciu obszernych listach wzoruje się na Cyceronie, gdyż znał dobrze łacińskich autorów.

Bardzo wyczerpujący i ciekawy jest długi artykuł p. Dymitra Dwojczenko-Markowa o pierwszym dyplomacie rosyjskim w Mołdawii i Wałachii od 1779 do 1808 roku, niejakim Sergiuszu I. Laskarowie albo Laskarewie. Intrygował on i przeciw Polsce, zwłaszcza przeciw ex-konfederatom polskim. Ten artykuł jest w języku angielskim.

Lecz do najciekawszych należy niedługi stosunkowo, ale odnoszący się do jednej z tych zagadek historycznych, dla których nie znaleziono rozwiązania, tj. do sprawy Dymitra, uważanego przez jednych za Samozwańca, przez innych za prawego syna Iwana IV-go Groźnego. Otóż w tym artykule p. N. Puszkin, wnuk wielkiego poety rosyjskiego, twierdzi stanowczo, że był on rzeczywiście synem Iwana IV. Może jest w tym i trochę sentymentu rodowego, gdyż ród bojarów Puszkinów, dość znaczny już w tych czasach, uznał Dymitra za carewicza moskiewskiego i stanął przy nim. N. Puszkin opowiada, że był obecny przy rozmowie swego ojca z synem wielkiego poety Żukowskiego (przyjaciela Mickiewicza) i „podczas tej rozmowy Żukowski zwierzył się memu ojcu, że pewnego dnia pracując w archiwach Kremla, znalazł tam dokumenty wyjątkowej wagi historycznej, dowodzące autentyczności Dymitra jako syna Iwana IV i prawego następcy tronu. Rozumiejąc ważność tego odkrycia, Żukowski zdecydował się przedstawić to cesarzowi. Aleksander III (mało inteligentny i wróg wszelkich nowości) przejrzawszy te teksty, osądził, że było już za późno na zmienianie ustalonej oficjalnej wersji i kazał zniszczyć te cenne dokumenty".

N. Puszkin uważa, iż jedynie poszukiwania w archiwach Watykanu mogłyby po zniszczeniu tych dokumentów dać klucz do rozwiązania tej zagadki historycznej. Sam wierzy, że Dymitr był synem Groźnego, jak wierzył Gabriel Puszkin, który z 300 jazdy zdobywał Moskwę dla swego carewicza. Trzeba przyznać, że argumenty N. Puszkina są bardzo logiczne, gdy dowodzi, że matka Dymitra i jej krewni, zesłani do Uglicza przez Borysa Godunowa, rządzącego wszechwładnie za panowania słabego Fiodora, starszego syna Iwana IV-go, żonatego z siostrą Godunowa, mogli obawiać się o życie chłopczyka i w drodze zamienić go na innego chłopca, ukrywając go u zaufanego bojarzyna Otrepiewa. Stąd przybrane nazwisko Dymitra.

Wreszcie, Jerzy Skwor daje doskonały rzut oka na współczesną literaturę bolszewicką, zatytułowany „Pisarze sowieccy w poszukiwaniu człowieka", konstatując, że od czasu śmierci Stalina nastąpiła w niej pewna „Odwilż". Taki tytuł nosi ostatnia powieść Ilji Ehrenburga, bacznego zawsze na zmiany i przystosowującego się z zadziwiającą „giętkością" do wszelkich nastrojów i reżymów. Wielką nowością w literaturze sowieckiej, twierdzi autor, jest, że w niektórych książkach sowieckich autorzy nie zadawalają się opisywaniem jedynie rzeczywistości mniej lub więcej prawdziwej podług recept propagandy komunistycznej, ale zdradzają swoją wewnętrzną postawę względem ludzi i życia.

I tak Ehrenburg ośmiela się twierdzić, że „wartość dzieł Czechowa nie opierała się na żadnym duchu partii" lecz na obserwacji człowieka. Konstanty Paustowski zauważa, że człowiek jest i będzie zawsze najciekawszym problematem. Stary poeta Mikołaj Zabołocki, wróciwszy nareszcie na wolność, wypowiada zdanie godne Seneki: „Nie ma gorszej zdrady, jak zdrada samego siebie". Poeta Eugeniusz Winokurow oświadcza, że talent poety to „znaleźć prawdę i wypowiedzieć ją". Inny pisarz, W. Nekrasow, mówi: „Trzeba zawsze szukać na wszystko odpowiedzi" i dodaje, że bez tego nie ma życia. Temu ostatniemu dostało się od samego Chruszczowa za to, że skrytykował ostro typ robotnika-komunisty w filmie „Bariera Lenina". „Pisarz sowiecki w piśmie sowieckim!" — biadał władca sowieckiej Rosji. Jednak dzięki jego zezwoleniu mogła być wydrukowana słynna powieść Aleksandra Sołżenicyna o łagrach sowieckich: „Jeden dzień Iwana Denisowicza". Co prawda miał on za cel pokazać zło reżimu Stalina w porównaniu do reżimu Chruszczowa. Skoro mowa o tym autorze warto zauważyć, że w zbiorze 12 nowel sowieckich, wydanym świeżo po polsku dano jego nowelę „Matriona" typ kobiety z przeszłości, zacnej, pogardzanej przez jej otoczenie i płaksiwej, typ dobrze znany u danych autorów. Lecz najciekawszy i najbardziej charakterystyczny utwór tego autora to „Wypadek na stacji Kreczetowka", z typem sowieckiego oficera Zotowa, regulującego pociągi na tej stacji. Wypadkowo spotyka tu przejeżdżającego zmobilizowanego aktora Tweritinowa i jest rad, że może porozmawiać z człowiekiem inteligentnym i artystą. Tweritinow wraca z frontu, zmęczony i wyczerpany, rad jest także życzliwemu przyjęciu Zotowa. Lecz w pewnej chwili Tweritinow ma szczęście zapytać Zotowa, jak się przedtem nazywał Stalingrad?*) I to wystarczy, aby Zotow-komunista wziął go za szpiega i odesłał pod strażą do władz. Ale Jerzy Skwor nie widzi, czy nie chce widzieć, że Zotow później ma wątpliwości, ma coś w rodzaju wyrzutów sumienia, czy miał rację? Czy się nie pomylił? Próbuje dowiedzieć się o losie Tweritinowa, oczywiście naprożno.

*) Carycyn.

ZJAZD S. P. K.

(Dokończenie ze str. 1)

powitania skierował do przybyłych delegatów proboszcz kościoła ks. mgr Kazimierz Sołowiej.

W toku dalszych obrad uchwalono rezolucje m.i. o organizowaniu co roku w miesiącu kwietniu manifestacyjnych obchodów ku czci ofiar terroru hitlerowskiego i sowieckiego oraz o przygotowaniu specjalnych zawodów sportowych młodzieży w roku millenijnym 1966.

W wyniku wyborów do zarządu SPK w W. Brytanii wybrano ponownie wszystkich członków z poprzedniej kadencji, to jest: Stefana Soboniewskiego — prezes, Jana Wawrzkiewicza i Stefana Brewkę — wiceprezesi, Tadeusza Krasonia — sekretarz, Mariana Siewińskiego — skarbnki; Czesława Czaplińskiego, Ryszarda Kaczorowskiego, Stanisława Kaczmarczyka, Ryszarda Zakrzewskiego — członkowie.

Obszerniejsze omówienie zjazdu oraz ważniejsze uchwały zostaną podane w najbliższym numerze „Orła Białego".

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — we Francji NF. 0.75 — w Austrii 1.60 Sch. — w Belgii 7 fr. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 5 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir — w Australii A 1sh 9d — w Argentynie $0.20 (w orzeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent — w Szwajcarii 60 cent

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. BRYTANII: „Gryf" Publications Ltd. 169-171, Battersea Church Rd., London. S.W.11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6, rocznie £3.0.0. Zmiana adresu 1s — W BELGII: miesięcznie frb 25; kwartalnie frb. 75; Mrs. J. Korab-Brzozowska-Csaky 116 rue Joseph II Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J. Korab-Brzozowska-Csaky nr 7315.20, podając swój dokładny adres — FRANCJA: N.F.: kwart. 8.00, półr 15.00 rocznie 28.00 Admin. „Syreny" 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt.: Edit ELKA-Paris 5507-30; „Libella" Libraire 12 rue St. Louis-en-l'Ile Paris IV: na konto poczt. Paris cc 565150 Francja Północna: inż Eugeniusz Tuszewski 107 rue Royale Lille (Nord) tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône Var Vaucluse: Stefan Horodyski École des Filles. La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50 wpłacać przek poczt.: Fr Małecki, Pulpenlaan 17 Lindenheuvel Geleen (L.) — W NIEMCZECH: St Mikiciuk (13b) München 45 Gablonzerstrasse 7/I. — W NORWEGII: koron: mies. 4 kwart. 10 rocznie 36: Narvesens Kiosk Kompanii Post box 116, Oslo. — W SZWAJCARII: franków szwajc. miesięcznie 2.00, kwart 5.50; Maria Wasung, 6, rue des Lilas Genève i Janusz Rakowski Mainaustr 28, Zurich — W SZWECJI: koron: mies. 3.60 kwart. 10.00 rocz. 36.00; Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/II Stockholm — WE WŁOSZECH: lirów: kwart. 700; W Zahorski Associazione Combatt Polacchi Via Licia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt — W ARGENTYNIE: prenumerata roczna $8.00 (w orzeliczeniu): Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polaca" Serrano 2076 Buenos Aires — W BRAZYLII: półrocznie $4.00, rocznie $8.00 — W AUSTRALII: „Vistula" (Australia) Pty Ltd. Daking House Rawson Place Sydney: „Społem" 64 Tapleys Hill Rd. Royal Park Adelaide S.A.; R Gronowski 23 Clifton Str. Richmond E.1 Vic kwart £1.0.0A rocznie £3.15.0A — W KANADZIE: rocznie $8.00; „Gryf" London lub T. W Krychowski 101 Islington Ave South Toronto 18 Ontario. — W PŁD AAFRYCE: kwartalnie 16/6 rocznie — 60/-; prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf" Publications Ltd — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: $2.10 półroczna: $4.00 Przedstawicielstwa: J. Bieńkowski 627 Tracy Street Utica. N.Y., Polish American Book Co. 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa" L. Żukowski 5347 Chene St., Detroit 11 Mich USA: „Polinvalco" 1029 Cuba St. Toledo 17. Ohio i 6947 Oregon Ave. La Mesa via San Diego Calif

CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez jeden łam £1.0.0 wzgl. 1 cm. przez jeden łam NF 7.50 Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD. 171 Battersea Church Rd. London S.W.11; Adm „Syreny" 20 rue Legendre. Paris 17 tel WAGram 0045; Carlton Berry Ltd. Gr Buildings, Trafalgar Sq. London W.C.2; lub Odra Press Ltd. 20 Queens Gate Ter., S.W.7 Tel KNI 6856

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca

Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności

Adres Redakcji Administracji:

„Gryf" 171 Battersea Church Rd London S.W.11. Tel. BAttersea 1445

We Francji: „Syrena" 20 rue Legendre Paris 17. Tel. WAGram 0045

Konto pocztowe: ELKA cc Paris 5507-30

Printed and published by „Gryf Printers (H.C.) Ltd., 171, Battersea Church Road, London, S.W 11. Registered at the G.P.O. as a newspaper.